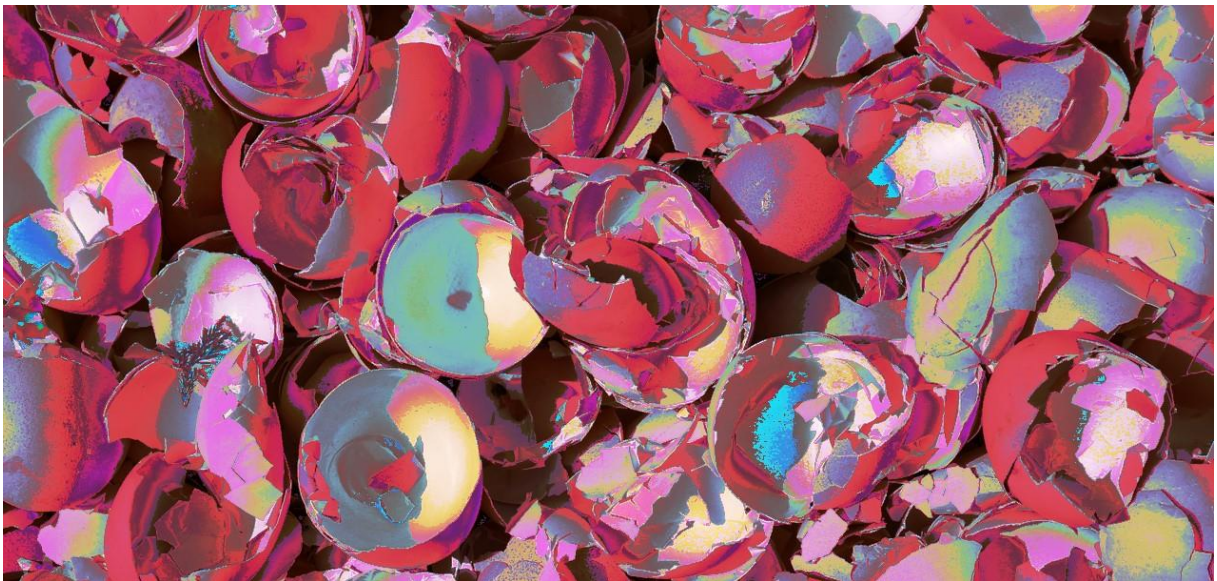


Marcin z Frysztaka

i

Pustynia

Zapomnienia



05. #7 Słowo wstępne.

Być zapomnianym, czy takim lubianym. Albo ze złej strony pamiętanym. Całkiem nie chcianym. Kto sam zapisuje się na to oczekiwanie. Kolejka jeszcze w tym życiu stanie. A w przyszłym, kontynuacja. Diabeł nie jest na wakacjach. I zbieranie zwłok. Naszczenie tych kwok. Ile można, i się przydaje. Czy chwila trwoźna, z kim się rozstaje. I zapomnienie, komu pisane. A może nikomu, choć oczekiwane. Przez wielu, pracą uzyskane. Dla wielu, nie będzie zapomniane. I tak to się właśnie, dalej nazywa. I tak przykłaśnie, złego przyzywa. Strona i odwet, dalsze koligacje. Panieński szpieg, masz te destynacje. W jakim stłoczeniu, i chwale bytu. Tak w przemierzeniu. Momentach zachwytu. Cała historia, i jej pogrzebanie. Masz okolicę, i to ciągle branie. Masz potylicę, i na co zostanie. Chwile i zmienności, to oczekiwanie. No i dalej, prosta historia. Stare żale, i ta monotonia. No i strona, tak bardzo należy. Nie zastanawia się, kto dokąd bieży. I struga, co ją artysta struga. I długa, co ją poznajesz po ślubach. Odchyły zmienne, chwile doczesne. Moce pokrewne, mocno podkreślę. I tak do końca, w jednym znaczeniu. I tak bez końca, w tym przyłożeniu. Chwieje się mocno, i nie popuszcza. Chwilą radosną, smaczna kapusta. O wielu już nie pamiętają. Nie ma po kim, płakać zaczynają. Chyba nad sobą, inną osobą. Ale nie nad tym, co żył niezgodą. Jak już, źle wspomnieć trzeba. Jak nóż. Przebija się ta potrzeba. To tchórz, odpór znakomity. Już włóż. Syfon cały zgnity. I te melodie, co się oddają. I te przechodnie, mocą się stają. W jednej dziedzinie, i koalicji. W jednej przyczynie, i zgranej fikcji. Jak to zrobić, by zostać zapamiętanym. Jak zaskoczyć, i zostać dogranym. W pewnym drygu, i instytucji. Pełnym przygód, jak lato w Jakucji. No i odmiany, tak przestrzegane. I te przemiany, będzie dograne. W sprawnym uchwycie, i kontrabandzie. W doborowym zgrzycie, masz tą wokandę. Może i spokój, no i co dalej. Weź nie prowokuj, kieruj ospale. W ty zdartym szoku, wolność wyznana. Opcje konkluzji, i noc udana. I ta mielizna, dalej się ściera. Jedna obczyzna, zdrada premiera. I ta historia, co się donosi. We wiadomości, dalej poprosi. Jakie żyto, i ile przeżyto. W jakim stanie, i czy masz dokonanie. Jak należy, uhonorować. Kto tu bieży, czy nie lepiej się schować. Jeden przydatek, i ta obczyzna. Jeden naddatek, twarda mielizna. No więc opór, i sam zostaje. Ten protokół, mi się wydaje. W zdatnym szoku, i mit pelerynek. Jak w wykroku, i opcja jedynek. I tak zgrabnie, historia zbyta. Niedokładnie, piękna kobita. Trochę przesadnie, i mur z wnętrzości. Na głowę spadnie, w tej przeciągłości. No więc i dobrze, są drogowskazy. No i znaczenia, nakazy, zakazy. Wszystkie prośzenia, i chwile drogie. Do przemieszczenia, pozostają nałogiem. I się ujawnia, moc i szacunek. Melodia sprawna, i poczęstunek. W jednym wyjątku, starym obrządku. I w dedykacji, moim majątku. System jest zły, powtarzasz często. Kolędy ty, i Twoje zwycięstwo. Ale czy Pyrrus nie szuka uwagi. A może sprawy, i wielkiej wagi. No to stracenie, i odnowienie. No i zbawienie, to przytoczenie. Komu pamięci, w pamięci zachować. Komu do zasad się tutaj stosować. No i dobrze, będzie pozostawione. I natchnienie, tak ujednoczone. W jednym kontakcie, i jednym szachu. W dobrym takcie, i rządowym gmachu. Tracić, to wiele. I wiele otrzymać. Można odnowić, można powstrzymać. I to ta zaszczość, między drogami. Cwana rubasznosc, tymi podłogami. I zgiełk ten, co szuka tej chwili. I tren, co czeka, że wszyscy mili. Odnowa, ale czy chłodna już moja głowa. Przemowa, i zaczyna się wszystko od nowa. Pamięć, i stracenie zdatne. Zamieć, i chwile nieprzydatne. Odwołanie, i guza szukanie. Przekazanie, i jedno dokonanie. W jednym sznurku, w jednej sprawie. Na podwórku, i zabawie. Na kocurku, sprawa błoga. Kotu podwinęła się lewa noga. I tak zawsze, w tej jedności. Okazalsze, puste

kości. Przemądrzalsze dobrobyty. Z dawien dawna, znane chwytły. I ta magia, przekazania. Nie odpadała, niedostania. Nie dopadła, sprawa droga. Będzie chwila znowu błoga. I tak ciągle, patrz na siebie. I co dalej, na pogrzebie. I co prędzej, jest ten spadek. Czyli dobrze wyczyszczony zadek. Tak się kończy, jedno życie. I zaczyna, twoje przeżycie. Tak odnosi, i wnioskuje. Ktoś tu kogoś, oszukuje. Można dalej, i w legendzie. Wszystkie żale, żal mi wszędzie. Tak wydaje, jak w urzędzie. Będzie zamęt na tej grzędzie. Można dalej, kombinować. Można po swojemu rokować. I te zbytki, dalej znane. I te dalej, przekładane. Widok, spacja, orientacja. Kogo ważna tutaj racja. Worek z dziczą, obojętnością. Zakotwiczą, ze zdechłą radością. A Ci szkoda, a Ci mało. Ile właściwie tego zostało. I co warto, tu przysporzyć. Nie obdarto, trzeba mnożyć. Jedno życie, masz tu w spadku. Nie uciekaj, od chwili wypadków. Zbieraj siano. Tak dobrane. Twórz na zawsze zapamiętane.

Marat S. Wilke

MOCODAWCA:

Zapomnienie

Wbijają kolce

Nie zrekompensują

Dolce

Tylko zdrada

Czy aż zdrada

Kto na końcu

Mocą włada

Pustynia Zapomnienia

Historia duszy łowcy żony. Nie jednego poruszy, ten jej ton. Nie jednego zawiedzie może przesłanie. Ale trudno, prawda ma własne zdanie. I tak się odkrywa. I tak się zdobywa. Łowca żon, przed nami się odkrywa. To co się z nim działo, to co jego duszę popchało. To gdzie się znalazł, i w jakie bagno wlał. Tak to już jest na świecie, jeśli tego nie wiesz. Że źli ludzie, nie opowiedzą marudzie, tylko cierpią. Tylko się staczają. Mówię prędko, racji w uporze nie mają. Tylko to zesłanie, i pośmiertne oczekiwanie. Tylko to staczanie, i wieczyste ponaglanie. Zawsze coś, zawsze złożone. Buntował się ktoś, ale bunty zostały stłumione. Z tym co w piekle, nie wygrasz bowiem kolego. Nie ma tam zasady „nie ma tego złego”. Tam wszystko na złe wychodzi, i ze złem się godzi. Tam tylko wszystko strofuje, i niczego nie dowodzi. Chyba tylko tego, że zło złem pozostaje. Chyba właśnie dlatego, łapaczowi ciągle się wydaje. Że przez pomyłkę trafił na tę pustynię. Że jeszcze chwile, i obraz pustynny zginie. I pojawią się bramy niebios szeroko otwarte. Będą drinki, panienki, i kluby 24 otwarte. Może, kto wie, co w jego duszy roi się. Może, kto zna, ale wiadoma jest prawda ta. Że z piekła się nie wychodzi. To nie pobyt czasowy. Z piekłem nie każdy się godzi, ale temat jest to wielopoziomowy. Nic jednak nie zmieni, chcenie i płkanie. Jeden się z drugim zamieni, ale to samo zostanie. To nie tak działa, że da się to oszukać. Człowiek nie skała, nie jest to kopnięcie buta. I tak do końca, takie przyłożenie. I bez końca, nowe przenoszenie. Emocji i wywarów, z głowy pozwanego. Epitafia darów, i chęci dokonanego. Komu jaki zakład, i składanie boczne. Wyrzedany nakład, i problemy poboczne. Jakie to historie, i sprawności błogie. Jakie monotonie, i terminy srogie. Komu ten naszyjnik, co tam mocno ciąży. Komu zdanie winy, i ten który drąży. Dobrze więc, takim pozostanie. Choć nie wie, ma swoje mniemanie. Choć nie chce, odpowiedzią będzie. Łagodnie, nieprędko, jak na stawie łabędzie. I tak się odnosi, ciągle coś nowego. I tak dalej prosi, nie zrozumiesz nic z tego. Niejedna dusza, tak mocno ugrzęzła. Uszami porusza, będzie dobra przędza. Tylko dla kogo, i za ile sprzedana. Tylko przez kogo, i czy zaklejona rana. Wyniki batalii, i dalszego przechodzenia. Odmowy ze stali, i ciężkiego brzmienia. Oby, oby, i dalsze ideały. Smak tej wody, co podobna do skały. I te rozwody, z własną tożsamością. I te powody, nie spotkają się z godnością. Do końca, ten konkret, tak obgadywany. Bez końca, melodia, wynik będzie znany. I te przechodnie, spraw dalszych systemy. I te, mimowolne, wiemy mniej niż chcemy. A łapacz wie tylko, że jest do dupy. I to, że nic dobrego jeśli człowiek struty. I myśli, wiadomo, ale może się uda. Niech myśli, pozostaje, brak nadziei i nuda. Że może gdzieś jest koniec pustyni, że gdzieś się kogoś wini. Że może brak nadziei to tylko papka która się klei. I dochodzi powoli do owego łapacza. Nie zgodzi się z sensem, gdzie potrzebna jest praca. Nóg, rąk, wszystkiego dookoła. Pryśł, wsiąkł, nie było go, zgoła. Atrakcja, jaki wnętrzość dawno nie widziała. Wariacji, od których w piekle dyskusja rozgorzała. Co to za łapacz, który tak wariuje. I kolejnych ziarenek piasku się doszukuje. I tego co ich łączy, na ile się dzieli. I tego co je połączy, wykwit przy niedzieli. I tego co dalej, i jak to się dalej składa. Łapacz przemierza pustynię, tak się to składa. A Ty, i Twoje pustynne zwyczaje. Są dni, kiedy wiele Ci się wydaje. Są ćmy, co motyle udają. I zryw, niektórym się wydają. Dobrze, że spodnie dzisiaj wyprasowane. Dobrze że pochodnie mają własne zdanie. I szukają tych, co podpalić je potrafią. I wyznają, zamieniają się miejscem z szafą. I tak do granic, poczynań i rozchodów. I tak bez granic, okolicznych tych

przechodów. Styka się zmienia, i na drobne rozmienia. Wiwatuje, wariuje, kolejny to poemat. I te, założenia srogie. I tak, w znajomej odnowie. Myślisz i marzysz, o wiadomości wszelakiej. Zakładasz i darzysz, w przyszłości jednakiej. Do kłębka, a wełna się cieszy. Wariacje, i koca kretesy. Te stacje, powątpiewania ciągłe. Atrakcje, co z worka wyciągnie. No i przyszłość, co ubiera plastikowe rogi. I zaszłość, pozostałe te rozłogi. Wiadomość, co ciągle się tu zgrywa. Jegomość, co z miejsca się podrywa. I leci, na skrzydłach swej beznadziei. Nie śmieci, chce by wszyscy widzieli. Nie dzieci, tylko dorosłych to rozważania. Podleci, i koniec własnego zdania. I te dalsze, pozory i stany. Okazalsze, będziesz miał nos dorabiany. W wymiarach, i okolicznych barach. W rozmiarach, i atrakcji no nie miara. Się rości, i dalej stosuje. Jegomości, i ktoś kogoś odżegnuje. W wyjątku, i zdatnym początku. W bezkresie, i przemalowanym dresie. Do końca, masz możliwości słońca. W tym zgrane, i muzyka gra bez końca. W obiedzie, ważne są także sztuce. Bo pomagają, nie to co przy wódce. I należyte, dalsze obchody. I w ciemię bite, kolejne rozchody. W wyniku zdatku, i dalszych szynek. Nie bez przypadku, i kolor jedynek. Zdaje się staje, i dalej przenosi. Mnie się wydaje, ktoś o rachunek prosi. Niektórym się wydaje, że przecież opłacony. A ja na to mówię, jedne zabobony. No i atrakcja, żarcik sceniczny. No i narracja, pozostaniesz śliczny. Jeśli śliczny też na Ziemi byłeś. Jeśli nie przez przypadek w zgodzie z górą byłeś. I tak tu dalej, dalsze zaległości. I weź nie szalej, lepiej proszę pościj. I w tym wypadku, i znanym zadatku. I w tej koniunkturze, wiadomej strukturze. Trzeba się dopasować, mówią niektórzy. Trzeba się stosować, nawet gdy niebo się chmurzy. A to zależy do czego, czy do prawa boskiego. I nie ma w tym nic złego, być innym od drugiego. O ile się w związku z Panem zostaje. O ile się człowiekowi wiele nie wydaje. I te znajomości, tak bardzo się przydają. I te porządności, niczego nie udają. W wymiarze formy, i życiowe normy. W odpychu gracji, w ferworze wakacji. Wymiary i stany, będziesz pogrzebany. I te zdrady towaru, przemeblowanego baru. Komu melina, i okoliczność. Komu znaczenie, ta spontaniczność. I odwyroki, dalsze potoki. I odebrania, materiał do zabrania. Łapacz wie, choć mu się wydaje. Ciągłe gnie, z rozumem się rozstaje. Bo i dusza swój rozum ze świata przenosi. Predyspozycje, o inne nie prosi. Spaczone sumienie, sama unosi. I to ponaglenie, topi, roznosi. Wytwór więc wieczny, i statek konieczny. To sprawozdanie, i innego udawanie. Nikomu nigdy na dobre nie wyjdzie. Kategorie windy, i w utkanej krzywdzie. Nie ma spokoju, i cichego ukojenia. Nie, dla rozboju, i cichego przemierzenia. Wartość wonności, i ten dalszy pościg. Zgryzota młodości, i doszli dorośli. Do stanu, który wiele wskazuje. W obrazie, ikonki i pokazuje. Wariuje, bez słomki, i masz to dodawanie. Optuje, bez kolki, w wytworze sprawdzanie. Więc tak do końca, jedno pozostaje. I tak bez końca, wszystko jednym się staje. Wartości dóbr, i przekonywania. Odpowiedź, słów, i marnego powtarzania. Ale się chce, i dalej przenosi. Ale we mgle, i o coś znowu prosi. Do końca, marne jedno przyrzeczenie. Bez końca, chwila i materiał na zbawienie. Do brzegu, sprawność i słowo drogie. Kolegów, stany, może skończyć się nałogiem. I to dalsze, słów otwieranie. Okazalsze, jak dobrze poznane zdanie. W wymiarze, i słowo dalej utkane. W przekazie, będzie na półkę odkładane. I się tworzy, dalej stresuje. I się mnoży, łapacza obliguje. Tak jak każdą inną upadłą duszę. Tak jak setki innych, tworzonych poruszeń. Komu chwila, i przeciągnięcie. Komu zestaw, i to pierdnięcie. W wytworze jednym, dobrze strawionym. W pozorze drugim, tak odnalezionym. Chwile i fakty, dalsze atrakcje. Mogiły i trakty, te ekscytacje. Ciągłe no nowo, w tym zdartym szyku. Jest kolorowo, świt ten w nocniku. Niby to zdrowo, nowomoda jakaś. Na pewno brawurowo, i historia jednaka. Oby tak dalej, wiadomość sprawcza. Zostały żale, i historia poprawcza. W odwyku stale, i przyłożenie. W przeniku

doskonale, i zdarte istnienie. Wie o tym łapacz, i nic mu nie przeszkodzi. Kombinować, kroczyć, choć wzrok zawodzi. Przeobrażać, toczyć, na co mu to przyjdzie. Widowskowo stoczyć, życie w drugiej izbie. I te melodie, tak często przerwane. I te pochodnie, tak zgrabnie odpalane. W wytłoku i spacji, odmiennej narracji. W zdarzeniu i fakcie, zebrany kontrakcie. Toczy się sprawdza, jedna to nowina. To nie smak jest smardza, smutna bardziej mina. I te okoliczności, tak bardzo obmierzłe. I te przejrzyście, po części już zwiędłe. Dalej się odnoszą. Dalej o coś proszą. I tak wiwatują. Może się nie zgorszą. I dalsze sumienie, kategoria, odroczenie. I dalsze mniemanie, tak nowe poznanie. W wyniku i stanie, będzie odkrywanie. W obwodzie i formie, pozostanie w normie. I dalsze zaszłości, w rytm pożądliwości. W tym stałym natchnieniu, i duszy każdym tchnieniu. Tak tu zostaje, i kimkolwiek się staje. Tak mu się wydaje, i są te życia rozstaje. W jednej wątpliwości, wszystko pozostaje. W jednej przezorności, te wszystkie zwyczajne. Komu atak litości, i zgrabne przebarwienia. Pozostają kości, i efekt przedobrzenia. Komu i jak, co dalej gra. Melodia ta, powtarza się na dwa. W wytłoku drogim, te wszystkie nałogi, w porządku sprawny, sycie, niepoprawnym. I te dalsze stacje, kolejne atrakcje. I to ciągle przedobrzenie, z wynikiem się witanie. Łapacz to wie, łapacz wciąż myśli. Może jakiś sen, kolejny mu się wyśni. W wiadomej grze, w piekle nie ma spania. Jest co innego. Ktoś komuś zabrania. Nie mów, nic złego. Takim pozostanie. Nie nazywaj mnie kolegą, jeśli masz odmienne zadanie. Więc w tym fakcie, przyłożenie srogie. Tak w kontakcie, i kinkiety drogim. W artefakcie, tłoczy się znaczenie. W zgrany takcie, masz to przyłożenie. I wychowy, co głowę w piasku chowają. I przechowy, co znowu coś dorabiają. Jak się nazywa, i o co wnioskuje. Dlaczego wciąż przegrywa, i znowu oponuje. W jednej sprawie, całość pochowana. Na wyprawie, i okoliczność ułaskawiająca Pana. Wartość dóbr, i ich kolejność w stadzie. Wynik zgub, i kanoniczność w rozkładzie. Jaki wynik tych dalszych pociągnięć. Jaki sęk, dalszych niedociągnięć. Komu zerwanie, a komu oddanie. Łapacz wie, a przynajmniej ma mniemanie. I te sporne, orbity, co się zahaczają. I wytwornie, znów bity, co się odgradzają. W tych walkach, i osobnych przechwałkach. W odmianach, i zjedzonych bananach. Wartość jedna, tak tu powielona. Powszednia, oby lepsza żona. I te zgryzy, co pozycji swojej nie znają. I te walizy, co na sygnał się nie otwierają. W wyjątku, i dalszym porządku. Się zdaje, i po chwili przydaje. Obronność, i zdanie do wyrobienia. Przezorność, i materiał do odgradzenia. No więc dalej, i kolejna przypadłość. Chłopie nalej, i będzie pełna zgrabność. W tej otrutej, tutaj abnegacji. W tej wysnutej, kolejnej ciemnej atrakcji. Się dobija, i ciągle tu odnawia. Długa szyja, i w ozdobie pawia. Się zabija, i powłokę tylko zmienia. Się dobija, i jest już efekt jelenia. Tak w tym stadzie, będzie odtworzone. Jak w rosadzie, wszyscy na moją stronę. W tym przykładzie, o pustynię tu chodzi. Nie, nie w zwadzie, coś w końcu do mnie dochodzi. I te marne, abnegacje. Niebinarne, te atrakcje. Ordynarne, poczynania. I wiadome, w rytm gadania. No więc strącić, i przemycić. Wodę mącić, i przechwycić. W zgodzie jednej, pojednanej. W tej wygodzie, dokonanej. I te zmyłki, wiele trzeba. I konflikty, więcej nie dam. W tej komorze, i na dworze. Możesz zapytać mnie o każdej porze. No i lepiej, sianie maku. Tak o chlebie, na trzepaku. Tak na glebie, dusza schnie. O efekt nie pytaj się mnie. No więc racja, i atrakcja. To ta zmiana, to narracja. Niedograna, dalej syta. Nieprzebrana, w dobrobytach. I konkluzjach, tak poczętych. Dalszych fuzjach, w jedno wziętych. I mniemaniu, co się staje. W przekonaniu, że rozstaje. Więc do końca, pojedynki, tak bez końca, rytm dziewczynek. Tak do słońca, wystawiony. Masz protokół, wypełniony. No i słowo, co się mości. Wszystko w rytm ten, sen radości. Wszystko w zgodzie, z piedestałem. Tak zależnym, ideałem. No i dalej, te przekrety. Kolor biały, i wyklęty.

W tym przeniku, i zagranu. W odpowiednim przekonaniu. Opcja stadna, i dosadna. Wizja płocha, raczej spada. To radocha, w przenikaniu. Moja brocha, w tym gadania. A ten łapacz, kroczy dalej. To pustynia, chwil i żale. To rutyna, jego zjada. Samotność co tak ręce rozkłada. I ta wiara, co się darzy. Nie niezdara, się przydarzy. I wątlóci, osobowości. Przemierzone dwie długości. W zdartym szyku, i mniemaniu. Tak w uniku, przekonaniu. Się nadziewa, dalej śpiewa. Tylko gdzie się on podziewa. I te sprytne, tu rozruchy. Te przekwitłe, dalsze buchy. W tym wyniku, i zdarzeniu. W chwil uniku, przemierzeniu. Trzeba wątlóć już zostawić. Ta przezorność, można się bawić. Ta odporność, i zdarte słowa. Więc zaczyna się rozmowa. I do taktu, chwile drogie. W rytm kontaktu, już nałogiem. Się zawiedzie, w tym zawodzie. Tak przywiedzie, chwile srogie. I to zgrabne, zaczynanie. I konkretne, słów składanie. W jednym stylu i posiłku. W tym konkretnym chwil zasiłku. No i zbiór, dostosowany. Obcy twór, będzie tu znany. Ciemny bór, i jego pielęgnacja. Wiadomy dwór, i osobliwa atrakcja. No i spokój, ten wymarły. Nie prowokuj, więcej farby. No i zadanie, które się powtarza. A Ty szukaj na pustyni lekarza. Więc tej kwintet, immunitet. Więc zadany, chwile zbyte. Więc dodany, należności. I te czynne przezorności. W tym wykwiec siła jedna. Jak w przekwiec, niepośrednia. I wiadomość, co się chmurzy. I jegomość, już w podróży. Wartość akt, i przeznaczenia. Sprawny takt, i poszerzenia. W tym wygodnym, dobrostanie. Będzie sprawne przestrzeganie. I do końca, tych jedynek. I bez końca, jedną klimę. W piekle uruchomić, co się nie da. Trzeba więc się stroić, więcej trzeba. Ale nie ma, i na „nie” pozostanie. Gdzie potrzeba, i te dni, wyplowiąte. Ten kolega, i jego siermiężne sumienie. Tak dobite, kolejne przyłożenie. W jednym tłoku, i znanym rachunku. Nie prowokuj, wolność w poczęstunku. W wielkim szoku, łapacz pozostaje. Momenty i chwile, z nimi się zadaje. W tym więc wykonie, jedna zaszłość prysła. W tym przekonie, wolność niezawista. O które marzyć można i próbować. Może się darzyć, ale piekła nie da się przemebłować. Jedna zasada, i osobliwość straszna. Chwila w przesadach, i kategoria rubaszna. W wykwiec stałym, i powikłaniu małym. W odpowiedzi radosnej, i chwili doniosłej. Jest tak nadal, i tak już zostanie. Ktoś się ciągle skrada, i drugie śniadanie. Ktoś się o coś zakłada, ktoś coś odnajduje. Może Bóg, może przy Bogu lepiej się dusza czuje. Ale łapacz piekło pielęgnuje. Ale łapacz w piekle piaskiem się zajmuje. I tak do końca. Pewnie pozostanie. I tak bez końca. Czeka na drugie śniadanie. I tak dalej, w pełnym biegu. I najdalej, tu w rozbiegu. Kroi i stroi, się w tym popłochu. Dwoi i troi, motyw, w bezdechu. I tak tu piękne, to zaczynanie. Masz swoje życie, i przeginanie. W jednym zachwycie, i upodleniu. Sam decydujesz o swoim istnieniu. I te przeroby, kogo, dlaczego. I smak tej wody, nie ma nic z niczego. I te przechody, funkcje tych sumień. Dalsze rozwody, wynik nieporozumień. I tak bez końca, będzie nadzieja. I tak do końca, w życiu coś zmienia. Się Twoim, o ile się nie boim. Się życiem, o ile nie gardzisz tyciem. W tym życiu, i jednej legendzie. W ty tyciu, i przerażonej grzędzie. W niebyciu, i dalszym przyłożeniu. Nie bądź jak łapacz, znajdź boski sens w istnieniu. Bo jest, bo się w duszy odkłada. To test, nie jeden się zakłada. To przez, i dalej pielęgnuje. Lub rzeź, i ja tu opanuje. Więc wytwór, i sprawozdanie biegle. Ten stwór, i myśli pochlebne. Ty zajmij się swoim mniemaniem. A ja łapacza rozpoznaniem. I tak zgoda, między nami kwitnie. I wygodna, zanim z oczu zniknie. W tych swobodach, i dalszym powtarzaniu. Jest łapacz, w swoim przekonaniu. Jak człapać, i gdzie się zatrzymać. Pustynia Zapomnienia o duszach nie zapomina.

Spotkanie 1

W tych wynikach, odgadniony. Będzie dobrze, odwodniony. Ta pustynia, litości nie zna. Łapacz swoje tutaj pozna. Nowe życie, w upadaniu. Tak w zachwycie, przedawnianiu. Tak w niebycie, można słodko. Ale tutaj jesteś płotką. Nic nie może, wszystko musi. Nie pomoże, się udusi. I to zgrabne, znów kroczenie. Na czworakach, upodlenie. W poszukiwaniu własnego oddechu, w siebie zbieraniu, z niewoli grzechu. W takiej niewoli, tu okazyjność, nie ważne że boli, masz depresyjność. I okazja, nie do przegapienia. Więcej piachu, z okazji gapienia. Więcej strachu, niż można tu unieść. W jednym zamachu, mówisz szczęściu cześć. To pożegnanie, powrotu nie będzie. To upadanie, czujesz je w swojej grzędzie. Pustynia Zapomnienia, w żyły się wgryza. Łączy z krwią, to nie analiza. Tylko do końca, takie strapienie. Tylko bez końca to uwielbienie. Początek słońca, tutaj nastaje. A może to jego koniec, i początek udaje. Wszystko się zapętla, nie ma rozwiązania. Co to są za pęta, i koniec własnego głaskania. Jaka to kołęda, i do czego przekonuje. Życie było w przekrętach, i teraz żałuje. Łapacz, co rozwiązanie proponuje. Łapacz, co myśli, że uhandluje. Ale nie ma z kim i po co. Ale nic tu nie pomoże złoto. Bez wody, i możliwości oddychania. Bez swobody, i kolejnego dobierania. Te rozchody, i wiarołomne egzekucje. To powody, za późno na ablucję. I się stacza, tak bardzo żałuje. Taka praca, demon się zaczesuje. Kto rachunki tu opłaca, i jaka ewentualność. Ktoś myśli mu zagraca, niepełnosprawna sprawność. I w tym etapie, dalszym przyłożeniu. I w zdatnym, mapie, kolejnym straceniu. Komu się doniesie, i co dalej przyniesie. Jak tu się rozstaje, i czym dalej się staje. Łapacz kombinuje, w tych nowych rozterkach. Nic nie przekonuje, w jego potajemnych gierkach. Tylko ta pustynia, piachu co nie miara. Tylko ktoś przegina, i nie jest to para. Do skutku, i dalszego przeglądania. W wychówku, i efekcie lepszego grania. Coś łapaczowi oczy zasłania. Coś mówi, nie ma takiego drania. Albo to tylko przesłyszenia. Albo to tylko dziwne brzmienia. Komu to zjawisko pochodne. Komu to ściernisko, wciąż modne. I ta należytości wybrane. I te przejrzystości, dawno pochowane. W pełnej gotowości, łapacz przemierza. Tu wystają kości, może to żołnierza. I widzi, nagle coś niesamowitego. Krucjatę, ale co Ci do tego. Tą stratę, ale dlaczego się podnosi. Wyniki, i Jerozolima o spokój prosi. Krzyżowcy, i wszystko co być może. Na koniach, a nie schowane w oborze. Na dłoniach, co dalej wnioskuje. Przewiny, też ich oczekuje. Przemierzają tysiące, i nacierają. Przykrywają dwa końce, oddechu nie mają. Wszystko w krew tu zamieniają. Wystarczy brew, już znaczenie znają. I tak do końca, łapacz zdziwiony. I tak bez końca, te huczące tony. Odgłosy walki, i uderzania. Wszystko przed łapaczem, łapacz się zasłania. Żeby nie oberwać, żeby gorzej nie było. Można mocno zerwać, to by się porobiło. Ale co robią rycerze na środku pustyni. Co się tutaj dzieje, dlaczego ktoś wini. I Ci przyjaciele, po której są stronie. I Ci żywiele, może w mojej obronie. Myśli łapacz, i przekłada proporczyk. Jakiś leżał. Może to list gończy. Dalszy przedział, jakieś przyłożenie. Bóg nie widział, moje utrapienie. Tylko dlaczego, ja pośrodku tego. Myśli łapacz, co mi właściwie do tego. A walka trwa, i mocno się dzieje. Domena ma, i moi przyjaciele. Poemat gra, i wina kontratypów. Historie, dwa, żony wielkich szczytów. No i zasady, do których się kłania. I te pokłady, ktoś łapaczowi zabrania. I te rozwody. Wymiany mogiły. I dalsze powody, jeszcze się nie ziściły. Nagle łapacz widzi, jak ktoś miecz wbija. W jego serce, nie jest to miła chwila. Krew ciurkiem płynie. Ogrzewa pustynię. Krew wydaje się wrząca, z piaskiem pomieszana, płacząca. Kolejna śmierć łapacza skutku. Kolejna wina, i strata, chłód tu. Kolejna chwila, co się tak unosi. W jednym marzeniu o okruch życia prosi. I w tym wyjątku, dalszej przyczynie. I w tym

porządku, wymownej dziewczynie. Jedna na placu boju bowiem była. Jedna, w czerwieni. Tak się przyozdobiła. Podchodzi do niego i coś mu szepcze. Jedna dziewczyna, cały świat, powietrze. Mówi, że oddech mu jeden oddaje. Sekundę życia. I za nim tu staje. W tym momencie, ostatnim kąśliwym. W tym sentymencie, prawie, ledwo żywym. W tym firmamencie, co po nas pozostanie. Śmierć na placu boju, Pustynią Zapomnienia zostanie.

Piasek mówi:

Wynik walk, i ogrodzenia
Wszystko wspaniale, wynik brożenia

Wszystko w kupie pozostało
I z tą kupą się rozstało

Spotkanie 2

I w tym ferworze, i rozgoryczeniu. Potwornym skwarze, i upodleniu. Składa się inkszość, i coś donosi. Powtarza zwrotki, o życie prosi. I w tej arterii, chwili zapomnień. W prostej klimakterii, kategorii wspomnień. Łapacz się włóczy, przeżyć próbuje. Nigdy się nie nauczy, albo siebie oszukuje. I w tym wytworze, wiadomym wzorze. I w tym podaniu, tak słusznym śniadaniu. Którego nie ma, ciągle brakuje. Kolejna ściema. Piach łapacza oszukuje. I co dalej, kolejna nowina. Wyrwanie zęba, albo oberżyna. Przegranie strony, i strony błaganie. Nie masz dość, będzie kolejne przechylenie. I te zasady, dalsze roszady. W tej abnegacji, wyuczony frustracji. W tym chwil zachwycie, których tu nie ma. Pozostaje zbiecie, i ciężar kamienia. Pustynia nie ma początku, ni końca. Wiadomość, może dotyka nawet słońca. Ale słońce nie odpowiada, może z kimś się zakłada. Ale słońce nie dowiadyje, stosuje, powaga. No i spójność, co jest jej dostatek. Ocena sytuacji, to marny naddatek. Wymiana gwarancji, po co ją zostawiono. Odmiana atrakcji, każdy żyje swoją stroną. I tak do kłębka, włóczka się cieszy. Wiadomość mordercza, łapacz dalej grzeszy. Tylko myślą, dusza upadła nie wstaje. Droga bliższą, a przynajmniej tak jej się wydaje. I te tu zmiany, kolejne morały. I te odmiany, pozostaniesz stary. Dalsze przemiany, i zgryźliwe pozostałości. Klasyczne nie do wiary, nie zaprosiłeś gości. Łapacz jest sam, pustynia wielka. Wody tu brak, gdyby choćby butelka. Gdzieś tu zakopana w piasku była. A wydaje się, że to jedna piaszczysta mogiła. Jak mnie zapamiętają, historię ducha mego. Czy rację mają, że nie da uciec się od tego. Pustynia Zapomnienia, co to w ogóle znaczy. Metody stracenia, i niepotrzebnej nikomu pracy. Ale coś się dzieje, widzi jakieś poruszenie. Przez chwilę ma nadzieję, jest skuteczne brzmienie. Z oddali, coś tutaj wyłania. Wycie szakali, i widać już tego drania. Pościg jakiś, jak na dzikim zachodzie. Konie, strzały, polowanie w zgodzie. Ludzie w kapeluszach, i ze złymi minami. Widać podniecenie, jest coś między nami. Łapacz, myśli, nie będę przeszkadzał. Choć po chwili, myśl o wodzie zdradzał. Może mają, może się podziela. Podbiega, jakby chwając się niedzielą. A tu okrzyk i zatrzymanie koni. Teraz na piechotę jeden drugiego goni. I te kompozycje, wiadome tradycje. I to zaczynanie, nie próżne gadanie. I to całe wokół strzelanie. I co całe wokół pogłębianie. Komu na co, i jedna przyczyna. Się bogacą, albo tylko taka mina. Nagle coś się zmienia, patrzą na łapacza. To już inny temat,

historia się stacza. Trzy strzały w serce, historia stracona. Łapacz powoli umiera, melodia niedokończona. Ktoś zabiera buty, i kurtkę skórzaną. I ten kapelusz struty, który mu podano. A łapacz leży, i powoli się kończy. Może to jego gonili, może za nim ten list gończy. I nagle widzi, kobietę w czerwieni. Uśmiecha się, jak to coś zmieni. Przybliża głowę, do głowy łapacza. I szepcze, taka to rozbójnika praca. Ale już cicho, już jest po skutku. Ukoj Cię, cisza, w tym pewnym gatunku. Historii nie zliczaj, poddaj się tej chwili. Za życiem nie bolej, pozostajemy mili. I znika, tak jak wzrok łapacza. I styka, może taka praca. Zwiadowca, albo coś podobnego. Co to za kobieta, czy nie ma nic z tego. I te stragany, przez chwile ustawione. I te kurhany, na zimę zostawione. Było i nie ma, gdzieś uleciało. To inny temat, chwili się zachciało. I cisza, o której była mowa. Pustynia z niej słynie, to pustyni mowa. I zgranie, które gracji dodaje. To oddanie, które czynem się staje. Na pustyni, co człowiek może poradzić. Jak w Cedyni, kto kogo może zdradzić. W jednym zgiełku, i sprawnym nosidełku. W te przewadze, i nieodpowiedniej wadze. Są zasady, których nie omiemy. Te w przewadze, a może tego nie chcemy. Te w rozwadze, po co nam już ona. Gdy człowiek ginie, kolejna odgadniona. I wartość jej na światło wychodzi. I wiadomość, która nie przewodzi. Cała strojność, i wyniki odkrywania. Ta dostojność, uniki pierwszego grania. W tej zasadzie, wszystko lepiej w stadzie. Ale tutaj, trzymaj na rozwadze. W ciężkich butach, których łapacz już nie ma. To chałupa, albo kolejna ściema. Co prawdą, a co fałszem, i w jakiej zasadzie. Co zgrzytem, a co rauszem, w odpowiedniej zwadzie. Komu zacne grono i wartki pojedynki. Tak postanowiono, oto zbiór jedynek.

Piasek mówi:

I w tej stronie, rozpoznanie
W tym zagonie, dogrywanie

W której stronie, jest odpowiedź
Nie dogonię, potrzebna spowiedź

Spotkanie 3

Nie ma gorszego miejsca w piekle. Łapacz dowiedział się o tym wściekle. Pustynia daje się mu we znaki. Brak tlenu. Wytwór wieloraki. I tak skłonności, które się darzą. I te porządności, problem przysmażą. I te tradycje kulawej nogi. Wszystko przez te wcześniejsze nałogi. Tak więc się zbiera, i dalej ociera. Tak tu wnioskuje i tlen zabiera. Tak że nic chwili już nie zostaje. Chyba że ktoś chwilę skutecznie udaje. I te zmiany, które się roszczą. Odmiany co skuteczności zazdroszczą. Przemiany, co na siłę skutkują. Wyjątkowości, co na ludzi plują. I te zabiegi, twarde rozbiegi. I te rozbiegi, wyłuskane biegi. W ciasnej spowiedzi, chwile wątpliwe. Kto w kim tu siedzi, marzenia zapobiegliwe. W jednym porządku, tak naskładane. W danym obrzędku, już obierane. I te zaszłości, które sprawdzają. I te przeszłości, nagrodę przyznają. W dziedzinie kłamstwa, i kręactwa wszelkiego. A Ty się pytasz, co mi do tego. A Ty się stukasz, i dalej ponawiasz. Taka nauka, niespodziankę sprawiasz. A łapacz kroczy, ciągle przed siebie. Przez tą pustynię, gdzie dojdzie, nie wie. Trochę przystanków, się oglądania. Trochę

wyskoków, wspólnego grania. Tylko z kim, jak nikogo nie widać. Może dym, może się przydać. I faktycznie, coś się pali. Czuć też wibrujący zapach, dach się zawali. Cały budynek w ogniu już stoi. Obok drugi, że się nie boi. I zajmuje się, wielkie gaszenie. I łapacz obok, patrzy, spoufalenie. Strażacy wodę wylewają. Ale napić się łapaczowi nie dają. Tylko gaszą kolejne wciąż domy. I sprawozdanie, jeszcze nie zostawiony. Łapacz wpada na ciekawy pomysł. Podejdzie pod dom, dlaczego, się domyśli. Przy płonącym domu poleją go wodą. I skończy się długo oczekiwaną nagrodą. No to się zdarza, i już planuje. Patrzy po twarzach, siebie rujnuje. Zapach cmentarza, i to donoszenie. Ktoś się pomnaża, będzie uwypuklenie. I jest, łapacz już w środku pożaru. I gest, nie ma tu zbędnego żaru. I test, jak to się razem, wspólnie pojmuje. Protest, dajcie wodę, po coś się tu stresuję. Ale zanim woda do niego dotarła, zapalił się, taka zbrodnia marna. Strata, można by rzec, pogładowa. Odmiana, i wykwit, ciągle tu nowa. I od nowa, nikt go jednak nie gasi. I głowa, może z gorąca sama się zgasi. Ale to jednak nie następuje. Gorąca głowa zaraz eksploduje. I widzi ją, wspaniałą kobietę. Młodą, piękną, najlepszą podniecię. Cała w czerwieni, już do niego podchodzi. Cała się zieleni, ciekawe, że jej to nie szkodzi. Może to wiosna do mnie przychodzi, myśli łapacz, jakby oczekiwał powodzi. A kobieta zbliża usta do ucha. Jego, a on dokładnie słucha. Tego, co kobieta powiedziała. Słowo po słowie delikatnie wyszeptwała. Poświęcić się trzeba, dla dobra wspólnego. A woda nie zapomni, i nie zdarzy się nic złego. Kobieta znika, albo płomień fika. Może jedno i drugie, łapacz powoli znika. Zjedzony przez ogień, bez dogaszania. Wygrywa płomień, nie ma dość czekania. Tylko trawi, nie zostawiając napiwku. Tylko zbawi, doszukując się własnego zysku. W tym wytycznym, przeznaczeniu. W tym kelnerowaniu, i zatraceniu. Jest tu wszystko, poronione. Jest nadzieja, i stracone. Są wykwitne, te namysły. I osobliwości przyszły. Taki koniec tego stanu. Nie doczeka się kurhanu. Łapacz znowu ginie marnie. W tym łapaniu, lapidarnie. I te stany, tak poznane. I łapani, będzie grane. I sprawdzany, ile trzeba. Wytwór, i syk świeżego chleba. Winność spodów, i kontraktów. Tych rozwodów i dwutaktów. W tym zawodzie, rozciągłości. W tym powodzie, wytwór gości. Pustynny stan, się mi udziela. Kategoria bram, szukać przyjaciela. Kategoria, stan, i przeciągłości. Wymiary bram, w tej doskonałości. I tak się styka, i dalej próbuje. Chwila cyrulika, dalej poszukuje. W tym wymiarze drogim, piekielnie odnogim. W tym zamiarze stałym, dobrze tu ustałym. Sprawność, tylko ona pozostaje. Piasek, koloru pustyni nadaje. Zdalność, i zwątpienie systemu. Sprzedajność, i nie oddam drugiego gemu. I tak się już zwykle wydaje. I tak się już zwykle staje. Wiadomość, i przenoszenie czynności. Przezorność, i nadpalone kości. Ciekawe czy łapacz żałuje. Decyzji, i tego gdzie się znajduje. W jakim spalony stanie smrodu. W jakim odwyku od narodu. I do końca, podjęta decyzja. I smak słońca, jaka urocza wizja. Wytwory, i zgodność na znaczenia. Przetwory, i termin wypełnienia. Do końca, i dalej tak zostanie. Bez końca, i będzie dobieranie. Komu jak, i jakie przyprawy. Komu znak, i wyczyszczone nawy. Jest i było, tak już zostanie. Się zdarzyło, owacje, panowie, panie.

Piasek mówi:

Wariat słów i zaczynania

Taka kategoria grania

Słowny bój i rozboje

To Twoje długo wyczekiwane przeboje

Spotkanie 4

W tym obrębie, i wyrębie. Chwile, które są na grzędzie. Chwile, które tu rokują. I rok cały oszukują. Po co, na co, i tradycja. Wielokrotnie powtarzana fikcja. Myśli łapacz, i wnioskuje. Ratunku tutaj upatruje. Ale nie ma, nie przybywa. Nie wie już jak sam się nazywa. I te strojne pantalony. Dźwięczą w uszach jak te dzwony. I się zdaje, tak wydaje. Komu, czemu, się wydaje. I donosi, o coś prosi. Chwila stop, i jest bigosik. A przynajmniej bardzo by chciał. A przynajmniej radość by miał. A tak, kroczy po tym pustynnym piachu. A tak, nie ma kawałka dachu. Żeby się schronić, przed pożogą. Żeby zadzwonić, odmienić trwogą. Jakie zagadki, i chwile spłaszczone. Jakie wypadki, i odrodzone. Możliwości, co ciągle się zastępują. Przejrzystości, które od wieków ratują. W zależności, i dalszej przyczynie. W przejrzystości, i wyoblonej minie. Komu jak, i dalsza przebiegłość. Jest ten smak, odmienna liczebność. Gdzie gadanie, i jakie przedstawianie. Gdzie słuchanie, i odmiany układanie. Na pustyni niewiele człowiekowi trzeba. A duszy mniej, jest jedna potrzeba. Wody-powietrza, nie ma żadnego. Nawet okładu z potu wyrzniętego. Gdzieś ulatuje, wszystko tu znika. Jedno drugie, brakuje hydraulika. Trzecie, czwarte, jak i gdzie podparte. W wymianie wartość, i kolana zdarte. I jak donosić, do czego odnosić. I jak się starać, można powiedzieć kopara. Ale to nie koparki wielkie, ale spychy i piły, drzewa tu ucięte. Łapacz patrzy i nie wierzy własnym oczom. Co tu się dzieje, dlaczego oni tak tłoczą. Dlaczego i skąd, na pustyni drzewa. I to takie gęste, pomocy może im trzeba. Może zatrudnię się przy wyrębie lasu. Zarobię na wodę, albo dadzą, nie ma czasu. Myśli łapacz, i migiem podbiega. Nie ma co buzią kłapać, ważne, że w rozbiegach. I tak się tworzy, opozycyjność sprawcza. I tak się mnoży teoria badawcza. W jakim szyku i dalszym spełnieniu. W którym uniku, i jego uwolnieniu. Łapacz podbiega ostatkiem sił. I w dalszych zabiegach, jakby już pił. A pić mu się chce, jak mało komu. Patrzy, a drzewa większe od niejednego domu. I robotnicy, co się nim nie przejmują. Robią swoje, inaczej nie próbują. I hydraulicy, którzy się przyglądają. Kształt poziomicy na nowo odkrywają. I tak do końca, woda ta wrząca. I przerobienie, będzie uwypuklenie. Aż patrzy, jak cięcie drzewa się kończy. Kolejnego, niepotrzebny tu list gończy. I upada. Jedno obok drugiego. I rozpada, się, nie ma tego złego. Podobno, choć w piekle to nie obowiązuje. Tak swobodną, miną sytuację ratuje. Ale nikt nie zwraca na niego uwagi. Może brak mu odpowiedniej powagi. Chce złapać za piłę, ale mu nie dają. Przenosić gałęzie, też go nie zauważają. Aż nagle dzieje się coś niespodziewanego. Kolejne drzewo, leci, kolego. Ktoś krzyknął, ale było już za późno. Przygniotło łapacza, skończyło się że luźno. Teraz umiera, śmiercią powolną. Czuje, że to koniec, odmianą dostojną. Czuje, że ostatnie minuty został. To jest POWolność, wybałusza gały. I tak się dalej tu zastanawia. Prosi o wodę, błaga, nawet pawia. Ale co robi paw na pustyni. Ale dlaczego ma plaketkę spawacza z Gdyni. O co chodzi w tym całym cyrku. Co to dowodzi, i dlaczego świr tu. W jakim rozwodzie, to dalej postanowione. Kolejne minuty, pustynne, nieskończone. I nagle coś dziwnego się dzieje. Kobieta w czerwieni, na wodę ma nadzieję. Łapacz, ale poprosić jej nie potrafi. Cały oniemiały, coraz bardziej się gasi. I zastyga, w braku myśli i życzenia. I przeżywa, piękność to odnowienia. Podchodzi do niego kobieta zgrabna. Uśmiecha się, jakby nie dość była ładna. I szepcze, spokojnym głosem. Prosto do ucha, nie skończy się pogłosem.

Zespół praw i obowiązków. Zwykłe życie, cios porządków. Trzymaj to, co Twoje całe. Nie zamieniaj na modne zwyczaje. I znika. Kobieta, panika. Łapacza, jakby ogarnęła. Śmierć, to ona mu kolana zgięła. I wyciąga, nic już nie zostaje. Nie ma czasu, jakie to były zwyczaje. Łapacz kończy karą srogą. Zrozumieją Ci, którzy nie mogą. I do końca, w zwartym szyku. I bez końca, w kanoniku. Toczy się tłoczy, i chwile rozdwaja. Może przeskoczy, może to pałac. Ale nie, to koniec, oczy zamknięte. Ale dmie, obie ręce już dawno zajęte. Spóźnił się, na własną śmierć. Ale wybaczone, dostał funta ćwierć. I do końca, wyblakła nowina. I bez końca, pozostała kpina. Wszystko gdzieś znika, i mądrość hydraulika. Wszystko skończone, i odpowiednio zamiecione. Łapacz, i jego pustynna historia. Złapać, nie może być tak, że monotonia. A może by lepiej w ten sposób tak było. A może łapaczowi to wszystko się przyśniło. Ale nie Pustynia Zapomnienia istnieje. Dzieje się, i zabija wszelką nadzieję. I tak koniec, początek uduśił. A początek się do rozmnożenia zmusił. I mamy, tu kolejną wieczną teorię. I znamy jej wzór, oraz trajektorię.

Piasek mówi:

Wartość słońca i dobranie
Będzie pewne przekonanie

I konkluzje, ujednoczenie
Są żaluzje, i myśli strącenie

Spotkanie 5

W tym natłoku, i rozkroku. W często wyciąganym szoku. Jest zdarzenie, i kruczata. Wybawienie, sen wariata. I tak można, już bez skutku. I tak wiwat, słowo truchtu. I tak zdarzyć, się powinno. Choć tu ciągle jest już widno. Na Pustyni Zapomnienia. Koniec piekła, są wytchnienia. Ale czy to ważne było. Czy kiedykolwiek się piekło skończyło. Skora pustynia nie ma granicy. Skoro rozgląda się po okolicy. Łapacz, i widzi zawsze to samo. Piasek, wiele go tu naskładano. I te odruchy, przeciążenia. I te wysnute ze znaczeń marzenia. Komu jedynka, i mocna kpinka. Przydałaby się jakaś dziewczynka. Ale jak na lekarstwo, nikogo nie ma. Jedno to łągarstwo, oczy zaciemnia. Wydatne psiarstwo, ich też brakuje. Czasem ta zwada kiepską imprezę ratuje. I tak do końca, jedna przyczyna. I tak bez końca, jednolita kpina. W tych tu zamieciach, i wątpliwościach srogich. W dalszych przecięciach, i zdarzeniach drogich. Kto się dokopie, do sensu istnienia. Kto pustynię przekopie, aż do wydarzenia. Jakie są przypadki, i sławne rozstaje. Pozostają dziadki, i marne zwyczaje. A więc tak do końca, i jawna przejrzystość. Wizerunek słońca, zdublowana czystość. W tym jednym zwyczajku, i obchodzie złotym. W tym odwiecznym ruszaju, zawsze są kłopoty. I łapacz, co dalej tu się trudzi. Jego dusza, pytanie czy jej się nudzi. Na samym końcu piekła, które się nie kończy. Może by uciekła, a potem list gończy. Ale jak się wydostać, z tej pustyni srogiej. Jak złapać powietrze, w wydzielinie drogiej. Wszystko jest na wietrze, może o wiatr chodzi. Gdzie jest to powietrze, zapytać nie zaszkodzi. I te dalsze ruchy, życiowe odruchy. I te zaniedbania, fort i przeczekania. Jak to uskutecznić, czy można spróbować. Szansę można zwietrzyć, a nie się dołować. Ale na rozmyślaniach tylko się skończyło. A na próbowaniu, czasu nie starczyło. Albo chęci, z

którejkoľwiek strony. Przepchnięci, nikt ich nie dogoni. Ale co innego teraz łapacza zajmuje. To co widzi, to co teraz czuje. Bo przed nim ukazał się wielki zamek rwący. Bo za nim, potok, i styl życia służący. Ludzie, ciężka praca, co ich do tego zmusza. Ktoś kogoś popycha, ktoś kogoś poddusza. Pokłócili się, o to czyje jest to wiadro. Łapacz podchodzi, jakby wszystko się rozpadło. Ale po chwili wróciło, kłótnia, dalej żyło. I po chwili uderzenie. Wiadro i życzenie. Łapacz łapie wiadro, i gna w kierunku zamku. Za tą wodę, wpuszczą mnie, nie tylko do ganku. I goni, zadowolony, że na zamku schronienie znajdzie. I trwoni, myśli, że tylko jak go ochota najdzie. Jest już u bramy, patrzy do wiaderka. A tam tylko dno na niego litościwie zerka. Gdzie jest woda, czy wyparowała. Gdzie swoboda, pragnienie, ustała. Więc wraca. Strumienia już nie ma, została kałuża, i nad nią pochylenia. Ludzie kłócą się o to co w kałuży zostało. Łapacz nabiera, jakby mu się przydało. Po czym czuje mocne uderzenie. Ktoś go obkłada wiadrem, czuje to cierpienie. I traci przytomność na dobrych kilka minut. Odzyskuje, a tu więcej przygód. Za marnotrawstwo wody, wszyscy mają być straceni. Na dziedzińcu, w szeregu powieszeni. I to faktycznie, staje się, ma miejsce. I to logiczne, dalsze jest to przejście. Łapacz pojmany, ostatnie życzenie. Zastanawia się, chce nowe odrodzenie. Odrodzeń nie było, szybko się skończyło. Ale przed końcem, coś się pojawiło. Piękna kobieta, w czerwień odziana. Tak uczesana, tak wumuskana. Jak anioł jakiś, do łapacza podchodzi. Zbliża się, i szepcze, może nie zaszkodzi. Wyszepiała, że warto, dobrze stroić nuty. Że wartość, to nie umysł zatruty. I znikła, już jej więcej nie było. Był stryczek, i tak to się skończyło. Wiadomość, stromość, i dalsze kontrybucje. Historie, zdarzenia, i wyliczone uncje. W wartości srogiej, dalsze ponowienia. W obmierzłej głowie, czas na pocieszenia. I tak się znajduje, wciąż dalej ponosi. Dobrze się też czuje, o więcej znów prosi. W znanym archetypie, i konieczności wolności. W wyczekiwanym zgrzycie, i wytłoczynach z jakości. Komu ile, i jakie piedestały. Nie, nie zbiję, i wytrzeszczone gały. Jestem tu tylko na chwilę, pustynia to nie moje miejsce. Ale czy można wrócić. Powiedzieć, nareszcie. Kto dla kogo, taki sos gotuje. Kto przez kogo, lepiej się tu czuje. W tym zawodzie, i dalszym przedawnieniu. W tym powodzie, i oszukanym cieniu. Komu jaka nowina, i dlaczego ktoś przegina. Komu ewentualność, i przemyślana sprawność. W jakiej znaleźć stronie, i dlaczego utonie. Bez wody, powody, łap te, moje dłonie.

Piasek mówi:

Woda i jej wielkie znaczenie

Pogoda, dalsze uwypuklenie

Ta zgoda, która wiecznie donosi

Odmowa, o autograf Ciebie prosi

Spotkanie 6

W tym wytłoku, i natłoku. Zgrabnym, acz zapobiegliwym szoku. Się znajduje, nie próżnuje. Kolejny piasek odkopuje. I te stany, tak obmierzłe. Nieźle zgrzany, sprawy zwięzłe. I dobroci, więcej trzeba. Nie ma tego, od smaku chleba. Na pustyni chleba mało. W dobroć się pozamieniało. Może, tylko jej nie widać. Sworzeń, oby się nią nie okidać. Więc tu zgraje, i

kontrakty. Tak na bok odkładane fakty. Więc tu stany, wszystkie zmienne. Te kurhany, naprzemienne. I tak litość, co zostaje. I ta nicość, się przydaje. W zgranym zgiełku, i kontrakcie. W nosidełku, i na trakcie. Trzeba trzymać się bokami. Odpowiadać, z prawidłami. Trzeba wąsko znów wnioskować. Albo się przed wnioskiem chować. W tej pogoni, wszyscy zwarci, albo szkopuł, niedotarci. I tak stroni, znów próbuje. Samego siebie tu oszukuje. Łapacz nasz, i jego historia. Byłaby racja, jest alegoria. Byłaby spacja, jest bajdurzenie. Takie odwrotne to spoufalenie. I tak do końca, wariować trzeba. I szukać tego kawałka chleba. Ale pustynia tylko letargiem karmi. Ale w letargu, chwila i padnij. I dalsze stany, jak widać składany. I trajektorię, jak dobrze wybrany. Wieczną pochodnię, i studnię bez wody. Odmienność zdarzeń, i dalsze swobody. O co, jak dalej, i sprzymierzenia. Po co, tak zalej, i konflikty cienia. W jednej zaszłości, i wynik gości. W tej tu spójności, wiadomy pościg. I się donosi, wiecznie próbuje. I się podnosi, dalej skutkuje. W której sekundzie, i które tercji. Wszystko jest u mnie, nie w żadnej komercji. No i sposobność, to dalsze życie. Ta gołostowność, i suche przeżycie. W tej tu sekundzie, może i ujdzie. Tak w trzeciej rundzie, sama dalej pójdzie. I ta zapobiegliwość, po co mu ona. Łapacz łapie, a to suche ramiona. Łapacz strąca, na co go jeszcze najdzie. Wartość pieniądza, na pustyni rośnie jak smardze. I te wykwiłtne, podane tu dania. I te momenty, chwile na czekania. Te sentymety, dużo myśli łapacz. Gdzie wszystkie kontynenty, nie idzie ich wyłapać. Na pustyni jest czas na myślenie. Wszystko takie samo, to uwypuklenie. Wszystko się zdarzało, i zdarzyć się może. I jest, coś nowego. Jak południe o złej porze. Łapacz widzi wieżowiec, wyrósł nie wiadomo skąd. Ma wszystko, ogrzewanie, oraz prąd. Grzęzawisko, ale jakoś przeskakuje. I po chwili na dachu wieżowca już się znajduje. A obok niego człowiek, samobójca jakiś. Chce skoczyć, plan jest jednaki. Chce stchórzyć, albo odwagą się wykazać. A może tak po prostu coś ciekawego pokazać. Łapacz go zagaduje, i do rezygnacji przekonuje. Rozmowa, o pogodzie, jak się teraz czuje. Rozmowa, o zawodzie, dzieciach i nałogach. Tracja triumfuje, nie znajdziesz jej w zwodach. Skoczek jednak robi rzecz nieprzewidzianą. Łapie łapacza, rundą tą wygraną. I mówi, że samemu kiepsko się skacze. Spycha łapacza z dachu, i lecą obaj, w trakcie. Lot trwa nad wyraz długo. Łapacz przerażony, nie było tu go. A może wieżowca tego wcale nie ma. Ale widzi obok skoczka, rozumie, że to poemat. W trakcie lotu miraż, to się zdarza. Widzi kobietę, może córkę aptekarza. W każdym razie uśmiechniętą, tak przenikliwie piękną. W każdym razie w czerwień ubraną. Cudownie okrzesaną. Która zbliża się, by coś powiedzieć. I mówi, raczysz drogi wiedzieć. Że wszystko co spada, upaść musi na końcu. Jest jednak autostrada, która kończy się w słońcu. I przerywa, słuchać głuchy huk. Się zdobywa, zdobyłby gdyby mógł. Łapacz w końcu wylądował. Nie żyje, przed śmiercią się nie schował. I te dalsze, dróg rozstaje. I coś komuś się wydaje. I te zdalne, piedestały. I ktoś kto zawsze zostaje mały. Jaki jawny autorytet. Jaki sprawny ten parytet. I te znane, drogi zacne. Doskonałe, nie alzackie. Wytwór brow, i obrachunków. Katalog spraw, cichych trunków. W jednym zgrzycie i zachwycie. W dokonaniu, dobrobycie. Można wszędzie, można ostro. Tak na grzędzie, się poniosło. I te sprytne, tajne drogi. I te wymiarowe tak rozłogi. Komu opór i jedyńka. Która uśmiechnięta minka. Gdzie granica, tej zaszłości. Opór i potłuczone kości. W miarę, wymiar poszerzony. Ja z zamiarem, odgadniony. I spodziewać się udręki. Koalicji, no i męki. Która strona, ma dziś radę. Która męka, nie dojadę. I ten wynik, całkiem sporny. I prawidłny, wciąż oporny. Chwila męki, i spadanie. Te udręki, odradzanie. Tylko po co, skoro nie ma. Tylko na co, ten poemat. Wywiad srogi, i zakrety. Tak mi drogi, i przekrety. Schylić głowę, i dołować. Można tutaj się pochować.

Piasek mówi:

Wytwór spraw i opatrunków
Taniec braw, tanich rachunków

I ten lot co się sprzedał
Dobrze że piasek się chociaż odniedał

Spotkanie 7

W tym natłoku, i energii. W zgranym szoku i synergii. Zbiera się, mąci, i krew zabiera. Chwilę podłączy, i obumiera. Komu jaka waluta dostatnia. Komu historia, tak bardzo ostatnia. I w tym wyniku, dalej się składa. W ciasnym uniku, to balustrada. I ta siermiężna, dalsza przyczyna. Efekt poręczy, i jawna kpina. Komu bywalec, i ważne sprawy. Historie mnogie, trochę do zabawy. I tu nasz łapacz, dalej tak kroczy. Pustynia patrzy, łatwo nie przeskoczy. I w tej zabawie obiekcja droga. W jawnej rozprawie, jak na rozłogach. Dobrze więc wspólnie, to przyłożenie. Będzie obopólnie, wyśnione zbawienie. A jest co jest, i tak zostanie. Etapy, mizerie, i własne zdanie. Komu dziedzina, tak odgadniona. Komu przyczyna, i druga strona. W tym to ryszunku i opatrunku. W tym przedawnieniu, spełnionym rachunku. I ta idea, która się skrada. I wielka bieda, chwili rosza. Łapacz się zbiera, coś go uwiera. To nie jest materiał na pustyni konesera. Ale co zrobić, skoro nie ma innej. Historii chwalebnej, bardziej niewinnej. Ale co dodać, odejmowanie zdalne. Będziesz miał i masz, chwile nienaruszalne. W dalszej przyczynie, te tu chwile błogie. I to odgarnianie, możesz zwać nałogiem. I to sprzedawanie, komu w jakiej cenie. Nie ma komu sprzedać, to jest sprzymierzenie. I samotność, która spać nie daje. I roztropność, z nocą się nie rozstaje. Której nie ma, pustynia jej nie zna. Nie ma też dnia, chichot losu wezbrał. I te zażyłości, wymienne inności. I te sprzymierzenia, obligują do jedzenia. Tylko co tu jeść, chyba piach ten sypki. Gdyby tu były, wędzone chociaż rybki. Ale nie ma, brak, tu zostawiony. Pozostaje ten, smak, tak tu rozogniony. Totalny bezsens, gdzie ta pustynia. Która karmiła manną, czy była jedyna. Na tej łapacz nic nie dostaje. Na tej, nic łapaczowi się nie udaje. Tylko te strącenia spójne. Tylko te przejrzystości ogólne. I po co to komu, jakie zasady. Nie mów nikomu, tu same zwady. Piekło dobrze pustynię urządziło. Pewnie długo się nad nią głowiło. A teraz więzienie, bez krat i strażników. Dalsze westchnienie, i poziom samotników. Takie strącenie, komu na życzenie. Jest spoufalenie, dalsze okrążenie. Łapacz nagle widzi coś dziwnego. Zastanawia się, czy do końca żywego. Facet jakiś, garkuchnię otwiera. Nawołuje ludzi, jakby szukał premiera. Ale nie, normalnie żywo poczęstunek. Ale nie, prawdziwo, dla łapacza ratunek. Każdy dostaje szklankę wody, i tikka masala, jakby dla osłody. Kolejka długa, swoje trzeba odstać. Choć nikogo nie ma, nie można się z niej wydostać. Kolejka musi rządzić się swoimi prawami. Nie ma tak, że wypychasz się między osobami. A tu osoby wirtualne jakby, no to nie ma, i nie skorzysta każdy. Myśli łapacz i widzi, że już nie daleko. Odpowiada, coraz większą podniętą. I tak dochodzi, jest jego kolej. I tak przywodzi, środkowy wolej. Dostaje os sikhę szklankę czystej wody. Pije łapaczynie, i jest wynik zgody. Zadławił się, i próbuje zwyciężyć. Męczy się, jest zbiegowisko węży. Chyba płuca zalane, co tutaj zrobić. Koniec jest

bliski, nie może się z tym pogodzić. Ale widzi nagle kobietę w czerwieni. Piękną, co się w słońcu mieni. Cudną, jak zapach, który z nią przychodzi. Odporność, niczemu to nie dowodzi. Kobieta zbliża się do niego i coś cicho szepcze. Ten ostatnim podrygiem, jeszcze jakby drecpcze. W miejscu, jakby uciec chciał od losu. A ona, nie ucieka, od raz wydanego głosu. I mówi słowa, co w pamięć zapadają. Historię, którą, prawie wszyscy znają. Kiedyś ktoś łudził się że pieniądze szczęście dają. Teraz po latach, już mu się nie przydają. Bo pił za szybko, i zbyt łapczywie. Bo żył, się rypta, i skończyło się na, chciwie. Łapacz historii nie zdążył zrozumieć. Padł martwy, i tak to jest życie umieć. A przynajmniej w jego wydaniu. A przynajmniej w jednym błaganu. Jak tu dalej, i która okoliczność. Czy śmieszne żale, i wolna okoliczność. Wytłoki, bo o nie tutaj chodzi. Potoki, nikt się z nimi nie rozwodzi. Trawienia, i te przemierzenia. Wątpliwie, znaczy bardziej chciwie. I do końca, tak już, jedna historia. I bez końca, powtarzana alegoria. W wytłoku, natarczywości rozkroku. W natłoku, obowiązkowości potoku. Kumu wiele, i jak się przydaje. Czy w kościele wiedzą to doskonale. Przyjaciele, i tak do nich się odnosi. Wiedzieć wiele, ten który o wiedzę prosi. I do końca, jedna okoliczność. I bez końca, wielka spontaniczność. Wytwór braw, i spraw tu jątrzenia. Katalog spraw, i wieczności przemierzenia. Oby do końca, tak się udało. Oby bez końca, znów się przydało. I ideały, które spozierają. I te banały, może rację mają. A gdzie Ty, i Twoje okolice. A gdzie my, i nasze poziomicie. Utrzymać balans, tutaj w ogródku. Nie wszystko na raz, bo nie wyłapiesz skutku.

Piasek mówi:

W tej energii upatrzony
W czystej synergii rozogniony

Strony, na drugą się odwracają
Nie zawsze długą, czas zawsze mają

Spotkanie 8

Ostro w rzędzie ustawione. Te nadzieje, niespełnione. Te przekleństwa wykrzyczane, i historie nieopowiedziane. Wszystko w rzędzie, daję słowo. Wartość i te ruchy głową. Stratność, i te tu przyczyny. Koalicyjne wyśnione miny. I tak dalej, się ustawia. I najdalej, lot żurawia. W pełnym zgiełku i ryszunku. W nosidełku, opatrunku. Komu chwila zostawiona. Jaka jest ta druga strona. I przejrzystość taka zwiędła. Kooperacyjna, i przebiegła. W tym wytłoku, dalej słowo. Że nie będzie kolorowo. Pustynia to przecież przebiegła. Justynian widział, że wredna. Ale i te zgraje sądu. Wszystko w myśl, w ramach przesądu. Ale i zbiorowe wrzaski. Kooperacyjne trzaski. Komu sito i te wnyki. Widać tylko, i prześwity. Jaki sąd, jest nad sądami. I kto straszy prawidłami. No więc spójnie, się donosi. Obopólnie, co raz prosi. No więc ktoś nieobecność zgłosi. Wina i ten smak przynosi. Wartość granic, i pobożnie. Chwile stronic, całkiem trwożnie. I przewiny, w lunaparku. Te dziewczyny, w jednym garnku. Jak się zbierać, i rozbierać. Po co tu w starociach szperać. Łapacz tak analizuje. Nikt go tutaj nie strofuje. Tylko ten powierza brak. No i słońca, kochał smak. A tu teraz ciemność jasna. Ta bezsenność, ale własna. No i szkopał

ustawiony. Jakby tu leciały balony. I faktycznie, sprawa taka. Jakby balonowa draka. Jeden spadł i się roztrzaskał. Łapacz myśli, może mlaskał. Pilot co nie złapał steru. Przy balonie kręci wielu. I ten ruch tu na niebie. I waszmości, już po chlebie. Przejrzystości i kaganki. Odmienności, stańmy w szranki. Mówi łapacz i próbuje. Że go balon oszukuje. Myśli, i czas tylko trwoni. Wiele ich, jak na dłoni. I zależność, tak podparta. Szybkobieżność, sprawa farta. I znaczenia, tak odkryte. Zastłaniane kolorytem. Może tak ten balon złapać. I odlecieć stąd, pokraka. Moja szansa, myśli łapacz. Może będzie, las i apacz. Ci Indianie, mnie nakarmią. Ci ziemianie, chwilą marną. I zależne te zboczenia. I przybrzeżne, otoczenia. Komu jak, i wina wilka. Komu smak, i słów tych klika. Wartość w sterze, i konkluzji. Już się bierze, więcej fuzji. Jeden balon wylądował. Łapacz biegnie, się nie schował. I już do kosza się pakuje. I już w koszu tym ląduje. Start, szum ognia, pogrzebanie. Chwila głodna, odlatywanie. I te stery, tak pokrętne. Nie te sfery, te zajęte. Łapacz czeka, coraz wyżej. Nie, nie zwleka. Jeszcze bliżej. I już czuje, woń ucieczki. Tu z pustyni, zewrzyj becзки. Ale nie, jest chwila sroga. Balon traci sens, w podkowach. Już tu spada, całkiem prędko, nie wypada, się już rzekło. I te chwile, zostawione. Tu w mogile, niestrawione. I te znaczne obrachunki, tak dodane, te ładunki. Łapacz uderza więc o ziemię. Tak z impetem, przerażenie. Cały wyłamany leży. I umiera, smak macierzy. Nagle widzi coś dziwnego. Piękną kobietę, jasność odkrytego. Cała jak anioł, w czerwień odziana. Mógłby na nią patrzeć do białego rana. Tylko poranków nie ma na tej pustyni. Tylko wypadków, on między nimi. A kobieta szepcze coś mu do ucha. Zaczyna się bowiem jeszcze zawierucha. Ale zdążyła, i powiedziała. Może tylko tyle umiała. Słowo, co żyje, nie odlatuje. Chwila, nie pozór, na świecie króluje. Korzystaj więc, z każdego oddechu, bo kiedyś go braknie, oby nie z grzechu. I znika, kobieta ta piękna. Panika, chwila ta przekłeta. Chwila odchodzenia, i cześć powiedzenia. Umieranie, to się nigdy nie zmienia. I tak łapacz schodzi z tego świata. Piekielnego, mądrość, chwila dla brata. Porządnego, strojność, i dalsze przyłożenie. Masz tu swój cel, i jego uwypuklenie. No i dalej, kolejna nowina. Te starcze żale, i wyoblona kpina. W jakiej projekcji, i której iniekcji. W danym zespole, wszystko zamyka się w kole. I to przyłożenie, dalsze przeniesienie. I to przystosowanie, odmienne rokowanie. Jakie znaczenie, i ewentualności. Dalsze to brzmienie, i odruch ilości. Po co to komu, i jakie zasady. Wolności bramy, czy zdrady zwady. Cholerne światło, którego tu nie ma. Denerwuje nawet, jak zagaduje cienia. I tak do końca, wszystko przeznaczone. I tak bez końca, chwile ogrodzone. W danych przewagach, i straty rozważach. W jednym brzemieniu, i popełnionych wadach. Ale jak właściwie można wadę popełnić. Jak w tym sensie, można świat spieniężyć. Jedność jest w gruncie, i tym przemierzeniu. Historia w buncie, i jednym skinieniu. Oby do granic, i członek komisji. Wartości stolic, i przeczytane listy. Zostaje gorycz, i smak pustyni. Waszych okolic, wszyscy wokół winni. Tylko czego i w jakim zakresie. Tylko kolego, i w Twoim notesie. Zapisane adresy, i telefonów numery. Bóg ma tak samo, jeśli mam być szczery. Ale nie do każdego ma ochotę dzwonić. Nie każdego odwiedzić, czasem woli stronić. Bo po co, jak ktoś wrogo nastawiony. Bo na co, jeśli woli lewe strony.

Piasek mówi:

Wartość skrzydeł, odlatywania
W myśl prawideł, przeczekania

Zwrotność w szyku i konkluzji

Nie doczekasz się tej fuzji

Spotkanie 9

W tym natłoku, i energii. W zdatnym szoku i synergii. Sprawy się mocno poplątały. Pewnie chodzić prosto nie umiały. I ten nasz łapacz, aż mi go szkoda. Nie startuje już w łapaniu zawodach. Nie świdruje panien swoim wzrokiem. Może odmiennie, może potokiem. I tak na schyłku, się ciągle odradza. Myśli w posiłkach, zostaje zdrada. Wymiar w nosidłach, trochę godności. Opór wydatny, w tej zwyczajności. I się nanosi, ktoś dalej prosi. I poniewiera, ktoś znów donosi. Oko premiera, i przemierzenie. Taka to sfera, to zjednoczenie. No i do półki, ze słodyczami. Tak to do spótki, z tymi karłami. Pustynia świeci, nie tylko pustkami. Możesz obchodzić ją kanałami. I takie kanały łapacz wypatrzył. Tu, na pustyni, po dwa jest trzy. Tu, te dziedziny, i rozpoznanie. Chwila na rzęsach, i dogadywanie. Tylko dokąd kanały prowadzą. Tylko czy kanały mnie te nie zdradzą. Zastanawia się łapacz i łapie oddech. Chwila marzeń, i sterty wodne. Komu kraina, podziemna dziedzina. Komu wyjątkowość, ta zacna dolina. W tej przeciągłości, i wiecznej litości. W zgraniu odnowy, do odbudowy. Chwyta za język, i dalsze zdarzenia. Luzuje więzy, i przyłożenie. Łapacz próbuje, wchodzi do szybu, czy jak się to nazywa. Potworny wybuch. Jakby coś światem zatrząsało. Jakby poczuł ból, chyba działo. Ale spokojnie, nie ma wycofania. Nie można uciec od próbowania. No więc schodzi głębiej po drabinie. I niespodzianka, woda, w dolinie. Pod pustynią płyną hektolitry płynu. Nie ma czasu na picie, jest ucieczka z gminu. No i opór, który woda stawia. Jak pewien dopust, i metoda żurawia. Jak stany astralne, tak dobrze poznane. Jelita i schowek, będą podrabiane. Łapacz już tu dalej brodzi. Idzie twardo, nikt mu nie przeszkodzi. Tylko kierunki pomylił ospale. I wylądował, w wodospadowej halle. Prawie jak odlotów, pod wielką pustynią. Nie ma tutaj tłoków, pewnie wszyscy giną, i ginie też łapacz, ale to za chwilę. Najpierw się pośliznie, wodospad i kill'em. Zabić złudzenia, i ponowienia. Zabić strudzenia, i te niechcenia. Ale nie ma już czasu na ratunek. Nie pomoże tu żaden opatrunek. Leci i spada, z wodospadu. Ludzi gromada, nie dojdiesz ładu. Tylko kiedy i skąd się pojawili. I ona, kobieta w czerwieni. Nie wszyscy mili. Ale ona tak. Ma spokojną twarz. Zapytaj siebie, czy też taką masz. Ale ona, tak koi spojrzeniem. Nie zastąpisz jej pierwszym lepszym cieniem. I jest. I podchodzi, w czasie lotu łapacza. Nikt jej nie przeszkodzi, może taka praca. I wymawia zapadające w pamięć słowa. I namawia, na wyzwania gotowa. Możesz wszystko, o ile wyrwać się potrafisz. To igrzysko, o ile tego ognia nie zgasisz. I znika, a łapacz ginie. Nie przeżył w tej kanałowej glinie. Nie dożył, wyborów jedynek. Pozostało, kitel, i blask pelerynek. Tylko po co komuś takie ubranie. Tylko dlaczego, i znowu stanie. Nie ma nic z tego, i ta przeźroczyść. Zero dobrego, zostaje czysta istność. W jakiej komendzie, i podrabianiu. Wartości wszędzie, we wspólnym graniu. Karton na grzędzie, i chwile troski. Odlatują łabędzie, albo to tylko pogłoski. Wiele się dzieje na tej pustyni. Zawsze ktoś kogoś tutaj wini. Szczególnie, że poza łapaczem nie ma tu życia. Chwila i mądrość, owoce zdobycia. I tak się rości, dalej zazdrości. I tak odpowiada, kolejna rosada. Komu zagajnik, i wynaturzenia. Prosta odpowiedź, i poruszenia. Jaka dziedzina, odpowiedzialność. Prosta przyczyna, zostaje skrajność. I na skrajności tej nie popłyniesz. Jest wodospad, jak łapacz zginiesz. I na tej jakości, chwili nie doświadczysz. Szybciej ten pościg, żałować zaczniesz. W

jakiej przygodzie, i wątpliwość wspólna. W takiej niezgodzie, tak, obopólna. Tutaj na lodzie, i te przywary. W późnym rozwodzie, wszystko do pary. I tak do końca, droga stracona. I ten brak słońca, i jej ramiona. Chwila gorąca, rozgoryczenie. I ta pachnąca, spoufalenie. Komu odpowiedź, i trochę szyku. Komu zadanie, i wynik w dzienniku. Jaka sposobność się dalej układa. I tak tu godność, ręce rozkłada. Oby tak dalej, i przekonanie. Chwile dla ciała, puste gadanie. Chwile dla zmyślenia, i przekonanie. Że wyszło tym razem Ci dodawanie. Komu więc spójność, i żal jedynek. Ta obopólna, sprawa dziewczynek. I wszystkie stroje, dalsze podboje. I przekomarzenia, oraz wyboje. Tak tu do końca, to odkrywanie. Tak tu bez końca. Odpowiadanie. A łapacz już śpi, snem umarłego. Kolejny raz, i co w tym złego. Oby do końca, wiara w te słońca. I odkurzania, lawa gorąca. To koniec zdania, sprawa nęcąca. Tak naprawiana. Zapraszam do końca. On Cie ugłaskuje, tak i utuli. On kocha zawsze, no i znieczuli. Koniec nie wrogiem, a przyjacielem. Bez niego nicość, nie jesteś zerem.

Piasek mówi:

I te odpory, sprawna moneta
I te pozory, nie tylko pies szczeka

Jaki wyjątek, dogadywanie
Jaki obrządek, i sprawne szczekanie

Spotkanie 10

W tym natłoku, i konkluzji. W sprawnym szoku, dosyć fuzji. Tak w potoku, poniewiera. Tak się ze skarpetkami zdziera. Koalicyjność i półgłówki. Sprawna fikcyjność i kartonówki. W jednym przedziale, zrozumiesz stale. I w przymierzeniu, dalszym łaknieniu. Odbiór do cna, i poniewieranie. Melodia ma, i własne zdanie. Czyja dziedzina, i okoliczność. Jaka przyczyna i spontaniczność. Tak się odkrywa, murem zdobywa. I tak donosi, płachtą nakrywa. W ramach radości, i sprzymierzania. To cios dla ilości, własnego zdania. Oby do końca, i widok słońca. Tej zależności, sprawa gorąca. W tej przydatności, i wyścierane. Obszar ilości, kłody naskładane. Można po cichu, lub w światłach fleszy. Można wydatnie, kogoś ucieszy. Albo tak stratnie, masz przesadzenie. Łapacz i jego dalsze błędzenie. Na Pustyni Zapomnienia. Tu w piekle, i jego widzenia. Tu wściekle, i przedobrzenia. Odwyk od gracji, wynaturzenia. Komu zagadka, i dalsze ciosy. Komu ta kładka, i butlonosy. W jakich wypadkach, i sieć pajęcza. W tanich zagadkach, ktoś się nastrecza. No i zasady, takie przykłady. No i zawody, dalsze powody. W zawiłości odpory, i tanie twory. W porządności przetwory, tylko jeden chory. Łapacz, co pustynię przemierza. Kłapacz, ciągle go coś uderza. Przeszkadza piasek między palcami. Uwadza zakład, między płodnościami. No i ten spokój, komu on potrzebny. Nie, nie prowokuj, komentarz jest zbędny. W jednej dziedzinie i taniej kpinie. W tej oberżynie, wszystko jedynie. I tak się unosi, dalej donosi. I pozostawia, sprawy nie stawia. Na ostrzu miecza, tak zabezpiecza. Na tyłku szpady, sprawa konieczna. I się spodziewa, kogoś przywdziewa. I odnajduje, jak się tu miewa. Tak poszukuje łapacz litości. Nie znajdą jej jednak, tu jego kości. I tak do kłębka, włóczka się cieszy. I nić chwalebna, może pocieszy. W jednym zakładzie, i tu w nieładzie. W tym tu składzie,

wiadomym układzie. Tak się tu miewa, przezorność sporna. Tak dogorywa, oraz odporna. Wykwintność stolna, taka powolna. Mogłaby być, jest przecież zdolna. I tak do końca, to odkrywanie. Cała pustynia, i przeglądanie. Łapacz jak w lustrze, widzi zdarzenie. Byłoby pięknie, jednak to przemierzenie. No i skuteczne, te atrybuty. Chwile konieczne, i ciężkie buty. Tak niebezpieczne, wyrachowane. Było dostateczne, to spótkowanie. Jest jak jest, i się nie zmieni. Pustynia Zapomnienia, z dala od korzeni. I te wywody, dalsze powody. Od dawien dawna przełamane lody. I się tak zdarza, dalej powtarza. I znamionuje, uśmiech lekarza. A łapacz kroczy, kto mu zabroni. A może to to, a może to oni. Bo widzi. Mordercy na zlecenie. Strzelcy, i ich przeznaczenie. Chcą zabić człowieka, bo dobry, wciąż czeka. Chcą go zastrzelić, taka strzelców podnieta. Więc łapacz rzuca się w trzy pędy. Chce go ostrzec, ale dotrzeć którądy. Chce pokazać, że życie ma znaczenie. Taka odmiana, pustynne przyłożenie. I dociera, w ostatnim momencie. I odbiera, cały w tym zamęcie. I rzuca się na niego, człowiek oniemiały. Tylko kto którego. I ostrzelany cały. Łapacz we krwi, przyjął mocne ciosy. Jeszcze żyw, ale gdzie są papierosy. Nie ma, na pustyni wielbłądy zginęły. Pewnie podobne strzały na klatkę przyjęły. I nasz łapacz, już odchodzi. Powoli, nic mu nie przeszkodzi. Umiera, ale zanim, ta piękna dziewczyna. Cała w czerwieni, podchodzi zaczyna. I przybliży głowę, do jego zranionej. I patrzy tym ciepłem, z uśmiechem, pogłębione. Te słowa, wypowiada, w pamięci zostają. Życie to nie zdrada, dobrzy dobro dostają. I tak kończy się wypowiedź dziewczycy. Chociaż kto wie. Może nie, w stronicy. Choć może, gdzie się, to znów pokazuje. Odmienię się, łapacz mówi, i żałuje. Ale gaśnie, po raz kolejny, ostatni. Choć kto wie, może ktoś powie, zacznij. Chociaż kto zna, jak to się rozwinie. Melodia ta, nie poddawaj się kpinie. I tak się dalej, zasłania stadami. I melodii zalew, pomiędzy stronami. Wyniki i rachunki, dawno zostawione. Te dalsze opatrunki, mogą być sprawdzone. I się przydaje, komuś coś dodaje. I wiele wymaga, taka życia rozważa. W jednej wspaniałości, i przegranej ilości. W tej doskonałości, byle dalej od nicości. A tu pustynia, nikomu nie popuszcza. Wierna dolina, byłaby z niej puszcza. Ale nie ma, i się nie zapowiada. Ale ściema, i kolejna roszada. Komu jaka, kategoria spełniona. Komu draka, i więź popuszczona. Z jakiej przyczyny, i wyoblonej miny. Z której atencji, i wydarzonej pensji. Odbiór i stany, będziesz dokonany. Wiwat kurhany, wartość ponad stany. I są te Pany, do czego donosi. I wybrany, już o coś prosi. A Ty posępny, może z gazety. Nie będzie niusa, tutaj niestety.

Piasek mówi:

Wytwór spraw i uczciwości
Kategorie braw, tu w tej litości

Wyniki zdalnego oprowadzania
Uniki, od tego ciągłego zginania

Spotkanie 11

Tak się sprawia, i odprawia. Ta historia, nie zabawa. W jednym rytmie, wtórne pręstwo. Nie dobitnie, ale gęsto. I się miewa, degraduje. Incydenty oszukuje. I się sprawia, dalszy pocisk. Nic nie robi a rzuca się w oczy. Tak tu dalej, pogłębienie. Będzie widok ten szalenie. Wywrotowo i swawolnie. Mogło być jeszcze powolnie. I się styka, niedomaga. Hydraulika odporna szpada. I zawala się ukosem. Wytłok, wciągasz ciszę nosem. Zna to dobrze łapacz drogi. Te motywy, no i schody. Te przygrywy i butelki. Śmiechy, chichy, dalsze męki. Na Pustyni Zapomnienia, nie ma tak, że bez ramienia. Ta tym końca świata czole. Bo tu, w piekle, nie na stole. I się pięknie odzęgkuje. I tu dalej, oszukuje. Że zamieni piasek na złoto. Kto się natnie, jest głupotą. I ten wyczyn doskonały. Historia przyczyn, i banały. Historia zdarzeń, komu czego. Tych oparzeń, ku dobrego. Obiektywu do patrzenia. Tak motywu, wypatrzenia. Tej tu, zgrywu, abnegacji. Wartość słów, i dalszych spacji. No to dalej się zanosi. I o autorytet prosi. Coś tu znowu kombinuje. Na pustyni nie próżnuje. Ale czy jest wyjście z tego. Ale czy nadzieja, czego. Ale czy przyczyna, spory. Obłożenia, i nowe wybory. Jak się skłócić tu z inflacją. Jak nadażyć za tą nacją. I warianty dalszych przyczyn. Koalicje, zwiesz je niczym. No i spójność, przedawniona. I intratna, doceniona. Skaza, co zabiera szyki. W płazach, dalsze tu uniki. Lecz na pustyni nie ma jedzenia. Lecz dla pustyni, chwalenie cienia. Nie robi żadnego wrażenia. Bardziej sporne oparzenia. I to chwili, te mozoły. I po chwili, znów pierdoły. W zdatnym szyku i wypadku. W kanoniku, i ostatku. Tak się zbiera, nie dociera. Tak obiera, nie przeziera. I te dalsze scenariusze. Łapacz żon, i jego katusze. Tu, na pustej tej przestrzeni. Tam, niewiele przecież zmieni. I te sprawy, bez pozorów. I historie bez tych sporów. Oby ostrzej i jedyńki. Tak zawzięte te dziewczynki. Przecież to ich wina była. Runda w piekle już się skończyła. Powtarza łapacz i szuka szczęścia. Wolność tutaj, go odstręcza. W wartości spójnej, odrobienie. W przekorze wspólnej, przewrócenie. I tak do końca, jedna mielizna. I tak bez końca, wiadoma blizna. W tych ideałach, pustynnych banałach. W tych obłożeniach, pijanych cieniach. I tak do końca, smutna melodia. I tak bez końca, tu w tych spodniach. Przygoda, co sama siebie trawi. Pogodna, ona łapacza nie zbawi. Brak tlenu i słońca. Księżycyca do końca. Tylko ten wiaterek srogi. Podwinięte jego nogi. I tak idzie, bez ustanku. Tu w przewidzie, i kaganku. Tu w znajomej paraleli. Byli tu jacyś ludzie, i zasłonę zdjęli. Co się dzieje. Co się tworzy. Łapacz chwile tutaj mnoży. I tak widzi, teatr jakiś. O królownie, tak jednaki. I zasiada wnet na scenie. I rosza w tym problemie. Jest i rycerz, na swym koniu. Teatr piękny, jak w Chersoniu. Cała ta historia miła. Bo miłosna, nie dobiła. I te wnyki nastawiane. I chochliki tu z bałwanem. O co chodzi w tej historii. Czy wiadomo, ludzie głodni. Nagle na stołach kuropatwy parzone. No i co dalej, chwile wymarzone. Łapacza naszego, myśli to nic złego. Zbiega z widowni, i atakuje tego. Co kuropatwę złapał. I już ją prawie chapał. Na niewiele się zdało, przez chwilę tylko bolało. Rycerz przebija mieczem łapacza. Nie podje, taka praca. Nie pomrze, a może zostanie. Jakież o nim opowiadanie. Albo chociaż mądre to zdanie. Kuropatwa, i na nią czekanie. To miał być teatr wydukał łapacz. Czegoś tu szukał, nie było kłapać. Nie było rzucać się na jądło wspaniałe. No to masz, i słowo doskonałe. Umieranie, to dla Ciebie nowina. Przemijanie, nie żadna literacka kpina. Więc tu kończysz swoje żywota. Obiekt gończy, i wynik w kłopotach. Łapacz już przytomność traci, ale może się wzbogaci. Bo ją widzi, piękną damę. Tą w czerwieni, poskładane. Podchodzi, szpilki, nie zawodzi. I chłodzi, dodaje, nie udaje. Tylko szepcze mu do ucha. Po co cała ta zawierucha. Dusza głodna jest nie ciało. A Tobie się jedzenia zachciało.

Sztuka, teatr musi trwać. A Ty nie masz się czego bać. No i koniec tej konkluzji. Nie ma zgrai, nie ma fuzji. Łapacz umiera, przedawnienie. To kolejne nawrócenie. No więc dalej, w piedestałach. Chwilę nalej, w tych ruszajach. I się zbiera, tak powtarza. I dobiera, coś tu stwarza. Oby dalej w tej przyczynie. Oby prędeż, przy dziewczynie. I się chłodzi, tak dodaje. Nie zawodzi, nie przyznaje. No więc konflikt, tej arterii. I znajomy, to ten z prerii. Komu chwała, dobrobytu. Ta zamiana, widok kwitu. I pospołem, podzieleni. Tu za stołem, tak spełnieni. Ale oby, ale czyli, może się nie wyleczyli. I do końca, radość wielka. Sztuki koniec, to rozterka. Sztuki goniec, tu obwieścił. Swoje życie w końcu streścił. Co wynika, co unika. Jaka sprawa hydraulika. W tej dziedzinie, kłopot wielki. Może chodzi o muszelki. Te pustynne, po straganach. Te nagminne, w wielkich panach. Słuchasz morza, gdzie skutkuje. Nie pomoże, się zepsuje. I ten wykwit, daję słowo. I abstrakcja, kolorowo. Tylko bilet był fejkowy, odmieniony. Nie gotowy. Bo ta zmiana, wiele wymaga. Oblegana balustrada. Bo ta zmiana, głębokie przeżycie. Nie jedna scena, nie w dobrobycie.

Piasek mówi:

Wynik sporów, konkludowania
Dla pozorów, obcowania

Dla tych wzorów i jedynek
Nie doliczysz się dziewczynek

Spotkanie 12

I ta orkiestra, co tu wtóruje. Mówią, pan tu nie stał, i dowodzi. W tym setnym obchodzie, i niedojedzonym lodzie. W tej dalszej konkluzji, jest to w Twoim zawodzie. Odporność na skutki, i przekazania. Hektolitry wódki, i marne doznania. W jednym wąwozie, wszystko stłumione. Jak w parowozie, uskutecznione. I te zamiany, na co się zdają. I te wymiany, zaczynać dodają. W tej prostej linii, tak przepatrzonej. Wszyscy są winni, w dializie spaczanej. No i zakłady, co się odkrywają. No i pokłady, one raczej mają. W tym skrzętnym systemie. Jak we wrodzonej egzemie. Karne naleciałości, otwór, smak ilości. No więc w przypadku, chwile, tu na statku. No więc w konkluzji, i zbędnym wydatku. Taki koniec fuzji, i tego przeźrocza. Tylko powiedz dlaczego, tak daje po oczach. I te tu zamiary, z dawna wypełnione. I te skrzętne kary, tak tu obronione. W jednym tym wywodzie, łapacza rozwodzie. W jednym zadawaniu, łapacza skaraniu. No i do piachu, kiedyś powiedzieli. Może przyszłość znali, może ją umieli. Pustynia Zapomnienia czeka na takich śmiałków. Bezkresna całkowicie, efekt skruch, i wałków. Komu ile, stół się ugina. Tu na chwilę, dalej rozpoczyna. I się tak zanosi. I znów kogoś prosi. I ta oniemiała, coś znowu donosi. Wartość dóbr, i stacji. Masowych frustracji. Wonność abnegacji, i czołowych lustracji. Po co ta odnoga, i domalowana ozdoba. Po co te przestaje, na darmo odstaje. Komu wynik głodu, i sprawnego chłodu. Jakie te atrakcje, pustynne wakacje. I tak do końca skarania boskiego. Po wsze czasy, samotność, co ma człowiek z tego. Tylko te przypadki, co po łapaczu chodzą. Takie te naddatki, z nim się nie rozwodzą. W jakim obozie, o co tutaj

chodzi. Łapacz patrzy, coś mu na myśl przywodzi. Bo widzi, że druty się pojawiły. Jest w obozie, nie ma na to siły. Środek pustyni, niczego nie było. Skąd to wszystko się tutaj pojawiło. Są i baraki, i więźniowie w paski. Stan ten kudłaty, może pora na podpaski. Kto jak nie Ty, i wyniki sprawy. Są też strażnicy, ale nie dla zabawy. I się dwój, i się troj, jak uciec z tego przybytku. I niczego się nie boi, chwila, mątwą w kitlu. Jaki odbiór, i sprawa załatwiona. Trzeba pracować, nie ma tego w szamponach. Wszyscy jak łapacz, mocno wygłodzeni. Wszyscy jak łapacz, przez nikogo nie odwiedzeni. Obóz to straszny, i wielkie rygory. Nie, że rubaszny, i o panienki spory. Nie ma tu wytchnienia, cztery godziny snu. Nie ma położenia, nie przekonasz stu. Tych co pilnują, co opiekę sprawują. Jaka to opieka. Od opieki się odżegnują. Ale dobrze brzmi, a przynajmniej się wydaje. Ale powiedz mi, co prawdą się staje. I te wartości, tak bardzo obmierźłe. I te ilości, i chwile chwalebne. Jest i apel, warta honorowa. Nie kudłate, wszystko jakby słowa. I odliczanie, więźniów przeglądanie. Ilu nocy nie przetrzymało, takie to dodawanie. I bicie, tego też nie brakuje. Za nic, bicie bólem skutkuje. Po nic, i dalej ta rozłożystość. To pic, mówi łapacz, cała jego przejrzystość. I rzuca się do ucieczki apelową porą. I status wycieczki, jest tu jego zmorą. Jednak na drutach dopadły go psy. Strażnicze wbiły w niego kły. I zagryzły, ale chwilę to trwało. I te blizny, to trochę bolało. I tężyzna, tutaj nie pomogła. I bielizna, w sumie w samych spodniach. Dwa owczarki, tak dobrze szkolone. Nie trzeba tracić kul, sprawy załatwione. Teraz wisi na drutach, ręce podziurawione. I łapacza ciało, szarpaniem naznaczone. Końcówka już to jest jego żywota. I masz Ci los, czy to jakaś psota. Kobieta w czerwieni, piękna jak ta zjawa. Taka ponętna, miła, jak wyprawa. Podchodzi do łapacza, i coś mu szepcze. Może wiersz, może wszystkiego nie chce. Powiedzieć, wyjawić, o co jej chodzi. Mówi powoli, ciepło, nie szkodzi. Kolego miły, po co te ramiona. Kolego żywy, dusza, to nie strona. Nie zmienisz jej jak kartki w kalendarzu. Nie uciekaj, źle zrozumiałeś słowo nakazu. Tylko odleć, zniknij precz. Cała ta ziemia, pustynia, wstecz. A Ty dręczysz się poglądami. I takimi prostymi ciągle metodami. I znika. I już jej nie ma. O co jej chodzi, pewnie jakaś ściema. I błysk tylko po sobie zostawiła. I więcej już uśmiechem nie koła. A łapacz kończy, i zamyka oczy. Ostatni raz, nikt go nie przeskoczy. Ostatni wrzos, i obligacje skarbowe. To prawdziwy cios, i mowy pogrzebowe. Odważny był, ale skończył jak inni. Taki zwinny, taki był niewinny. I co po nim zostało, co zostać miało. I jak to się skończyło, do czego doprowadziło. Dalsza walka piasku z piaskiem. Tu w przypadkach, nazwiesz brzaskiem. Tu w zawodach, wystawieni. Kolejne pionki, tu urodzeniu. Na tej planecie, jak na pustyni. Może nie chcecie, w rytm tej co zawini. Może umiecie, i to przekazanie. Przecież nie chcecie, a macie drugie śniadanie. I tak do końca, odpowiedź strojna. I tak bez końca, ta monotonna. Wariacje spraw, i pogrzebania. Fajnie niby było, ale efekt przegania. Kogo i czego, w jakim dalszym celu. Nie ma niczego, powiedział jeden z wielu. Nie ma dobrego, tylko na pustyni umieranie. A może nie smakuje, to Twoje drugie śniadanie.

Piasek mówi:

Ta istota, pogrzebana

Tak w kłopotach, wychowana

I konkluzje, lepszych nie ma

Wynik, fuzje, stara ściema

Spotkanie 13

W tym natłoku, jednym wirze. I rozkroku, nie ubliżę. Jest nasz łapacz, i rozchodu. Prawie to jak skok do wody. Lecz pustynia tutaj straszna. Ta jedyna, nie rubaszna. Lecz pustynny piasek piecze. Świszczy, głodzi, Wy nie wiecie. I tak się skrada, wyobcowuje. I ten zegarek, co poszukuje. Lecz na próżno szukać tutaj czasu. Obiekt spacji na dwójnasób. I się streszcza, i poluje. I podlewa, tak nocuje. Wiwat ściema, zależności. Odpór, i pogruchothane kości. Co łapaczowi tu zagraża. Jaka powaga go poraża. Jakie znamiona nosi wściekle. Jak to jest właściwie w tym piekle. A jest moi drodzy nie do pozazdroszczenia. Ukrop cholerny, i ta egzema. Swędzi i chrapie, całego to źdźbło. Gdyby nie to, dobrze by się szło. Tlen też by się tutaj przydał. No i to słońce, wielki niewypał. W ogóle wszystko jest tutaj do dupy. Byłoby, gdyby nie rozum struty. I te melodie, dalsze obchody. I te teorie, rozpuszczone lody. W jednej przyczynie, ewentualność. W zgranej dziedzinie wielka jest sprawność. I się donosi, dalej zaś prosi. I się ujmuje, nie, nie przenosi. W sprawnym kontakcie, i przyłożeniu. W odkrytym takcie, prawie jak w cieniu. Dlaczego nikt cieni tutaj nie docenia. Dlaczego wszędzie te piaskowe oblodzenia. Tyle przechwałek, i zawodzenia. Odbiory proste, tak bez bredzenia. No i ta sprawność, na nowo podjęta. I ta sukienka, ze szczęścia zdjęta. Pełna zależność i abnegacja. To szybkobieżność, moja narracja. I się tak styka, dalej potyka. Łapacz nasz biedny, jak poziom chomika. Trochę niepochlebny, ale prawdziwy. Pewnie liczycie tutaj na dziwy. A takich nie ma, jest samotność wielka. Nie pomoże w piekle Ci także butelka. Nie ma jak odpocząć, i złapać oddechu. Nikt nie powie, można spocząć, to wytwórnia jest grzechu. A raczej z wytwórnią piekło współpracuje. A raczej w wytwórni, grzechy dopracuje. Ma swych wystanników, i materiał drogi. Te wszystkie czułości, i te całe odnogi. Komu jaki grzech, ale to w innej księżce. Nie ma że we trzech. To w czerwonej wstążce. Jest znaczenie sporne, i mocne podbicie. Nie znajdziesz wyjątków, nawet w tanim chwycie. Twarde upadanie, i konflikt pozorów. Masz to swoje zdanie, i drogę wyborów. A łapacz ciągnie nogę za nogą po piekle. Pustynne marzenia, gryzą, ale wściekle. No i zapobieganie, to szybkie latanie. No i dogrywanie, komu pomóc o Panie. W dalszym interesie, i spraw odkrywaniu. W wielkim biznesie, i słów dogrywaniu. Jak się odciąć, od tego zgietku. Jak rozpocząć życie na nowo, w nosidełku. Jakość wzorowa, dalsze przydarzenie. Historia wciąż nowa. Szybkie przemieszczenie. Łapacz, ściera pot ze swojego czoła. Patrzy, myśli, historia całkiem nowa. Co to przed nim się tutaj ukazało. Cyrkowy namiot, tylko ludzi mało. Ale przecież na pustyni nie ma nikogo. Poza nim, i jedną przestrogą. Więc skąd się Ci ludzie tutaj znaleźli. Może są w pustynne gry całkiem nieźli. Wchodzi łapacz do namiotu zaciekawiony. A tam słoń, wielki, ponad te zasłony. Tańczy na rurze, kto go tak nauczył. Co to za przemierzenia, i kto go tak nauczył. Siada więc łapacz w pierwszym rzędzie. I podziwia, takie cuda nie są wszędzie. Takie zmiany, i przyczyny. Takie uśmiechnięte miny. Po słońcu klaun, coś na rowerze udaje. Niby żongluje, niby przestaje. Ale co i po co, dalsze strącenia. Ale gdzie i dlaczego, moje uwierzenia. No więc spody, i kontakty wyklęte. Te rozwody i akty własności zmięte. Te powody, i dalsze życia odkrywaniu. Te odmowy, i moje pociosane zdanie. Po klaunie tygrys wielki wchodzi. Skacze przez ogień, świetnie to mu wychodzi. No i nagle coś niespodziewanego. Tygrys skacze na łapacza, nie ma tego złego. Ale nie w tym wypadku, gryzie go ospale. Powoli, łapacz wypruty, wszystkie jego żale. Powoli, snem staje się zasnuty, krew wszędzie tryska. No i ma swój cyrk, prawdziwe rzymskie igrzyska. I tak spójnie, karty zostały rozdane. Obopólnie, w całość są układane. Śmierć już zagłada w

oczy łapacza. A te spogląda, coś go ubogaca. Kobieta piękna z nikąd się pojawiła. Cała w czerwieni, jak ona to zrobiła. Cała w uśmiechu, i jakby z dozą współczucia. Lekkiego, takiego jak igły ukłucia. Zbliży się do łapacza i szepcze mu do ucha. Nie przejmuj się, minie ta zawierucha. Ważne, żebyś miłość w sobie odnalazł. To jest ratunek, pokażę Ci ją zaraz. I zakrywa mu ręką oczy. A tygrys, jak nie odskoczy. Łapacz kończy sumienie, pochowane, tak jak istnienie. Może, dlaczego, co tutaj się stało. Może, nic złego, ale jak to się zmieniało. Kobieta znika, i śmierć zawodnika. Łapacza naszego, tak utrudzonego. Pustynia piętno na duszy wypala. Nie ma tak, że ludzi wyzwala. Ale traci, jak kontakt ze samym sobą. Życie graci, nie jest duszy ozdobą. I te krewne, historie powszednie. I te smaki, słów nie byle jakich. Jak to się skończy, i kiedy rozpędzi. Jak się dokończy, i dlaczego wyrok względny. Chichot i smak, tego przejęzyczenia. Łapacza brak, czy to koniec istnienia. Człowieka wrak, piekielna zagrywka. Czy wina smak, pustynna pozytywka.

Piasek mówi:

Ostróg lico na przeżyciu
Będzie dobre w piasku picciu

Będzie chłodne tu z morałem
Tak dostojne, za hejnałem

Spotkanie 14

Wynik spraw, i tych różności. Kategorii, objętości. Tej zgrywanej i dogranej. Notorycznie oszukanej. Jak na wadze, wartość inna. Jak przekupna, i niewinna. Srogo grodzi się w roztoczach. Tak odbiera, szumi w oczach. I się zbiera, ktoś zabiera. To materiał konesera. I nasz łapacz na pustyni. Wszystkich wokół tutaj wini. Każde ziarno tego piasku. Tak niezdarnie, dla potrzasku. Każdy wykwit, tej jedności. I odpornie, w myśl wątości. Jest znaczenie, i szum przywar. Zjednoczenie, zło to wywar. I obejrzyć dalej trzeba. I ta katolicka scheda. Wartość, obłok, teleranek. Świntuch, brat, i ten szatanek. Po co komu te zabawy. Obrót, i witanie sprawy. Dla jedność, wymiar przyczyn. W przezorności, nie dotyczy. I do zdadne słów sprawdzanie. Będzie wrogie przekonanie. A nasz łapacz dalej chwieje. Może ciągle ma nadzieję. A nasz kłapacz, tak się mości. Może sprawa to radości. Komu znaki, i przestrogi. Wieloznaczne te rozchody. Komu komór kołatanie. Zwinnych stron, ujednolicanie. W tym przytyku, i teorii. W zdartym szyku, trajektorii. Hople mówią, dają ciała. Ale to jest kara mała. I tak idzie przez pustynie. Może dzisiaj tu nie zginie. Choć tam nie ma dnia i nocy. Nie doczekasz się pomocy. I to zwinne, przedawnienie. I nagminne, wrót istnienie. Albo tylko urojenie. Przekazane, w dobrej cenie. I na końcu, stos energii. W marnym gońcu, klimakterii. I wiadomość pochowana. Tak stabilnie składowana. Łapacz zdaje się rozumieć. Idzie, oby umieć. Słuchać, dzwonić, jak rozkazą. Te łapacze o tym marzą. Ale stery, i przewinki. Ale te czerwone krwinki. Które już wyparowały. Z duszą dawno się rozstały. I morały, tu człowiecze. Kategorie, i dwa miecze. Trajektorie, wartość względna. I mozolnie, tak względna. No i spokój, na

przechwałki. Martwy pokój, i te strajki. A łapacza, znów coś łapie. Nawet tu przez chwile skacze. Od tego piekła, można oszaleć. Wiadomość jedna, historia zawaleń. Możliwość względna, tak ponowiona. Tylko gdzie są wolności ramiona. I te zestawy, które sprawiają. Gdzie te nastawy, co oblegają. W jasnym wykwiecie, i marzeń chwycie. W ciemnej, wilgotnej... może w zeszytce. I tak się stacza, Olimp tu cały. Dalej zawraca, i dyrdymały. W jednym poziomie, na drugiej stronie. I to co było, już wyważone. Łapacz tak idzie, bo co ma zrobić. Nie ma tu jak przecież zarobić. Bez tak zajęcia, i spadku pewnego. Powody zgięcia, dostosowanego. Ale coś widzi. Coś, co się dzieje. To wszystko przed nim, jacyś złodzieje. Bank ograbiają, takie przyczyny. Słychać strzały, i te ich miny. Nagle jeden do niego podbiega. Złodziejaszek, pierwszy w rozbiegach. I mówi, że worki ze złotem ma nosić. Przykłada pistolet, nie umie prosić. No więc atrakcja, coś się tu dzieje. I wynoszenie, na wolność ma nadzieję. Może ucieknę z tymi złodziejami. Mają samochód, wiara próżnościami. Problem w tym że twarze widział. Dalszego rozwoju wypadków nie przewidział. Zrobił co do niego należało. Pomagał, nawet mu się chciało. A później strzał z bliskiej odległości. Padł jak długi, nie było litości. I leży tak łapacz, powoli umiera. Ciało, dusza, cholera wie co doskwiera. Ale samotność go nie opuszcza. Źle się umiera, gdy dusza pusta. Źle się spoziera, gdy siły nie ma. Może jest to też kwestia sumienia. Ale już widzi, przepiękną pannę. Cała w czerwieni, i słowa składne. Wyszteptane mu prosto do ucha. To słowo, to jest ciepła otucha. Kiedyś zrozumiesz, po co to życie. Jaka siła duszy, miłości w zachwycie. Kiedyś udowodnisz, obyś miał okazję. Poszukaj głęboko, a znajdziesz fantazję. I znika, kobieta młoda. Piękna, jak między nami zgoda. Wspaniała, jak to co światem rządzi. Dojrzała, może świat rozsądzi. I jest, łapacz kończy życie. I test, jak to być w przekwicie. I co tu dalej powiedziane zostanie. Mnożenie, i konkretów sklejanie. Pomżenie, i sprawa tego rachunku. Oddanie, kpiny oraz opatrunku. W zadaniu, i termin na wykonaniu. Parskaniu, w jednym konkretnym zdaniu. I tak do końca, chwile poskładane. I tak bez końca, to życie zadaniem. Póki jest, póki mamy coś do powiedzenia. A później wyniki, i proste stwierdzenia. No i te spory, po co to komu. Jak te otwory, chwile dalszego zgonu. Monotonia, co zdaje się przepraszać. Polska zbrojna, niezależność raczy ogłaszać. Tylko od kogo i w jakiej minucie. Tylko dla kogo, drogi kogucie. W wytworze spalin, i przekazania. W odwadze marzeń, zwykłego parskania. Śmiech zabija, śmiechodawcę. Grzech dobija, grzechu oprawcę. I mimowolne kłapanie jęzorem. I to pozorne, stawanie się tworem. Dla kogo i po co, koniec tego konfliktu. Wymiary nocą, i artefakt edyktu. No i do sporu, on się słabo kończy. No i do dworu, on nas tu wykończy. Wiadomość otwarta, jak list żelazny. Historia już starta, zostały same błazny.

Piasek mówi:

I te ostatnie tutaj wymogi
I te wydatnie, sprawy i nogi

W jednej perspektywie tak uchwycone
I w komitywie, będzie sprawdzone

Spotkanie 15

W tym rozdziale, i udziale. W tej przyczynie, tu przy winie. Siedzi błogo, łapacz srogi. Wino ktoś wypił, nie nadrobi. I się męczy, w zawieruchach. I doręczy, w tych kostuchach. Świńskie jado, jego nie ma. Serce skradło, to poemat. No i spokój, aż za dużo. Nie prowokuj, póki chmurzą. W zdatnym szoku, zaczynaniu. Tu w potoku, przeglądaniu. I się łapacz wielce dziwi. I dochodzi, że prawdziwi. Wszyscy co go odwiedzają. Jest sam, czas więc mają. I te sterty drogowskazów. I koncerty, tych nakazów. Sprawa prosta, i odwrotna. Mina czujna, czasem psotna. I się zbiera, tak do taktu. I wybiera, w myśl kontaktu. Tak odwrotna tu przyczyna. Miała poznać, nie przegina. Więc się staje, i odstaje. Więc donosi, o coś prosi. Chwila co świat tu unosi. Miła, w ramach przeprosin. A to piekło, szkoda gadać. Może je trzeba wysadzać. A nie ziemskie te wieżowce. A nie chwile tu pomostem. No i zbiórki, co się nie da. W myśl kątówki, wiele trzeba. Tych powtórzeń, ponaglania. Z piekła tak się nabijania. Ale co pomoże tutaj. Łapaczowi, w kiepskich butach. Co nie mają kształtu, formy. Co nie wyrabiają normy. No więc dalej, ta otoczka. Wszystkie żale, i strój skoczka. W tym banale, przewrócenie. Takie piękne, tu spolszczenie. No i gradka, trzymać trzeba. Ta sąsiadka, pajda chleba. Jak dzierlatka, i wyniki. Łapacz znów stosuje uniki. Przypomina sobie bowiem. Ale co, to już nie powiem. Stare czasy, co minęły. Wygibasy, co ujęły. Ale teraz piach tu tylko. Nie ma żon, jest igrzysko. Nie drogą złą, bywa gorzej. Tak sobie powtarza, zepsuty stworzeń. No ale chwila, wiele wytarta. No ale żałość, tutaj już zdarta. W tych obligacjach, i byłym wspomnieniu. W tanich atrakcjach, i sprzymierzeniu. No więc do końca, ostoja świata. Chwila bez końca, siostry i brata. Ale ten motłoch, co on tu robi. Wielki targ, a na nim zawody. Kto taniej niewolnika kupi. Co bardziej człowieka ogłupi. Niewolnicy brudni i bici. Nie ma tu lekko, chwila tej dziczy. Aż ktoś łapie tu i łapacza. Mówi, kolejny, i ma za gracza. Wtrącają do klatki, tu też z innymi. Kolejny niewolnik, nie swojej winy. Ludzie tak plują, i wyśmiewają. Ludzie tak szacunku do niego nie mają. Aż ktoś go w końcu zlicytować zechciał. Wszystko to w słońcu, widok na przestrzał. I nikt, ceny najniższej nie zapłacił. Taniej niż buty, życia nie zagrabił. Widok chałupy, i dokładania. Będzie otruty, albo wynik uznania. I jako uznanie na piedestał trafił. Jako atrakcja, bez wartości znaczył. Jako narracja, opcja do uderzania. Jest i bat, synchronizacja zabrania. Ale może, i to właśnie pokazuje. Punkt otworzeń, i lenie się znajduje. Baty lądują z każdej strony. Łapacz już otumaniony. Kolejne uderzenia mocne, traci przytomność, chwile pomocne. Jednak po chwili otumaniony, patrzy już, widzi jak upodlony. I do granic wytrzymałości dochodzi. Zmieniają się kaci, to mu zaszkodzi. Ofiara jest jedna, nie w ciemną bita. Jednak zabawa to znakomita. Pod koniec chwili, już tej ostatniej. Widzi kobietę, w pozie wydatnej. Która podchodzi, tak uśmiechnięta. Która nie szkodzi, może przynęta. I mówi do niego ściszym głosem. Obyś już nigdy nie był tym osłem. Za którego cenę atrakcja jedynie. Bo słabe to chwile, życie szybko minie. Obyś zrozumiał naturę świata. A nie zapisywał się w kolejce na wariata. I znika ta piękna osoba. I panika, ale wielka szkoda. Nie rozumiałe, choć chwile tylko miałem. I straciłem, to co sobie wymyśliłem. To ostatnie słowa łapacza. Teraz zostanie już tylko praca. Uprzątnięcie zwłok co podest gracą. Nie był to chrzest, niech delikatni wybaczą. Ale tak było, historia sroga. To się zdarzyło, na piekła odłogach. Tak się ziściło, i kobieta piękna. Oby jeszcze było, może to zachęta. Ale do czego prowadzi, i komu zawadzi. Ale w jakiej płonąć kadzi, wielka rada radzi. Co lepsze dla człowieka, na co człowiek czeka. Co znośne, co kąśliwe. Co dla człowieka niemożliwe. I te wszystkie koalicje poboczne. I te wszystkie piaski tutaj tłoczne. Skąd się Ci

ludzie pojawiają. Po co się w szeregu ustawiają. I te całe inscenizacje kunsztowne. Jak drogie wakacje swobodne. Tylko finały jakieś uciążliwe. Powiedziałbym nawet, że są kąśliwe. I te stragany, ile ich w świecie. Ja wycofany, jeśli nie wiecie. Jak te barany, cena człowieka. Jeden się zgadza, drugi ucieka. I tak się świat nie zmienia od czasów. Gdy nie było na świecie jeszcze wygibasów. Czyli zawsze to samo, i tak już zostanie. Cena, wartości, i atrakcji pokazywanie. A Ty się cieszysz, to się podoba. Co Cię tak śmieszy, może niezgoda. A może to, że człowieka szkoda. Mówisz, że taka była pogoda. Mówisz, a co mi właściwie do tego. Nie zmienię świata mój drogi kolego. A mnie się wydaje, że słowo drogie. Jest lepsze, niż wyobrazić sobie mogę. Ciche przyzwolenie, to nie powód do dumy. Wyrzuty sumienia, to są te tłumy.

Piasek mówi:

Wyłtok braw i egzekucji
Historia spraw i ablucji

W wolności zdanie wypowiedziane
W sromności bań, i jego zdanie

Spotkanie 16

W tej wyżynie, i przydawku. Na przycznie, tanim sprawku. Się odnosi, w rytm jedynek. Tak domaga się dziewczynek. Ale nie ma, łapacz skąpy. To poemat, chwila, drący. Się w okopach, i marzeniach. Takich tu uwypukleniach. I się nosi, tak roznosi. I się prosi, tak donosi. W sprawnej funkcji i przystanku. W kategorii jak w kaganku. Więc te sprawy, całkiem jawne. Dla zabawy, niepoprawne. I pustyni przemierzanie. Takie to obgadywanie. W tym wykwiecie, i ekstazie. W dobrobycie, żart na trawie. Którą wyobraża sobie. Łapacz jakby był już grobie. A tu całkiem jest daleko. A rozlane dawno mleko. I się zmierza, dogaduje. Nie dociera, wciąż ujmuje. W tej przechwałce, znany morał. Chwila zdatna, to ta pora. Na kolejny krok zrobiony. Gorący piasek, niewyparzony. No i spójność tego zachwytu. Obopólność, i ten tu przytup. W jednej chwili, tak okazany. Wszyscy mili, takie są plany. A rzeczywistość inaczej rozsądzi. Zostanie przykreść, i ten tu trądzik. Małomównego, i tak młodego. Sługi grzesznego, nieuczonego. Który sam pustynie swoją tworzy. Który na pisaku się na niej rozłoży. I powtórzy, takie przeznaczenie. Bo nie rozumie czym jest istnienie. Który podburzy, i wartość zburzy. Będzie ten mętlik, tutaj w kałuży. No i zdolności, jakich Ci trzeba. I przeciągłości, taka potrzeba. W rytm znaczości, i słowa podparte. W pożądlivosti myśli są zdarte. I się na nowo tak pokazują. Jeden ruch głową, dalej kołują. Nie moją mową, tak powtarzane. Wystarczy słowo dobrze dobrane. A nasz ten łapacz, dalej tu kroczy. Pustynia parzy, parują oczy. Pustynia smaży, choć nie ma słońca. Od piekielnego ognia jest tu gorąca. No i zakusy, takich tu trzeba. I te pokusy, innemu nie da. I dalej susy, co to pomoże. Nie wie przecież, nie jest na dworze. Tylko te skutki, i dalsze smutki. Tylko mniemania i się przeciągania. W jednej teorii, i trajektorii. W jednym zawale, jak tutaj na skale. I te monity, można polować. Dalsze przekwity, nie ma co się chować. Łapacz próbuje, i nie dociera. Kolejny ukos, ta jego kariera. Ale tu nagle, patrzy, coś się dzieje. Ktoś kopie tunel,

albo ma nadzieję. Robotnicy jacyś, coś kombinują. Może do raju się przekopują. Podchodzi i pyta, o co tu chodzi. Mówią, że metro, jemu nie przeszkodzi. Budują metro do Strefy Cienia. Taka to dalsza korzyść z podziemia. No to poczekam, mówi łapacz nagle. Chętnie przejadę się na jakimś diable. Tutaj diabły nie zaglądną. Pustynię Zapomnienia w poważaniu mają. Tylko samotność tutaj i smutek. Gdybym miał chociaż z basenem chałupę, a nie mam, tylko to metro teraz. Chwila i moment, odwiedzę nieraz. I tak już czeka, na swój ten pociąg. Kiedy metro przyjedzie, jeden korkociąg. Czy go metro przewiezie, jak kupić bilety. Czy są tu w piekle, trzeba płacić niestety. Cena przejazdu, to dusza ospała. Tak podpalona, jakby nie chciała. Tak upodlona, że więcej nie weźmie. Historie proste, która to brednie. Ale nie teraz, ta się tu dzieje. Ale nie przekaz, i przyjaciele. Jacyś ludzie też na metro czekają. Przyjeżdża jedno, niektórzy się dosiadają. Ale dla łapacza brakuje już miejsca. To czeka dalej, wola zwycięstwa. To liczy żale, niewiele zrobiono. Może powiedzieć Boga chwałę, już przywrócono. Jest kolejny pociąg, metrem nazwanych. Niektórzy chichoczą, trakt oblegany. Niektórzy kłopotczą, jaki szacunek. Może już dziś, w Strefie Cienia poczęstunek. Ale nie, też całe zapchane. Ale źle, znowu zbyt oblegane. Czeka więc nadal i pewna nowina. Ktoś go zrzucił na tory. To jakaś kpina. I kolejny pociąg, szybko tu jedzie. Bez zatrzymania, jak na wczorajszym obiedzie. Bez rozdawania, tylko czysty biznes. Nie ma że zyskasz, trafisz na mieliznę. I uderza w łapacza tutaj z impetem. Nie zdążył uciec, nie nazwiesz bzdetem. Nie miał jak odfrunąć, za to ona przyfrunęła. Piękna kobieta. Czerwony kapelusz zdjęła. I mówi do niego, coś podobnego. Było jak było, no i co z tego. Ważne jest teraz i miłości uniesienie. Nie ma że zepsucie nie nadaje się na golenie. Wszystko można zmienić, los nie jest jednaki. Kategorie przeżyć, i dalsze te znaki. Wyniki wyborów, i dalszego życia. To nie gra pozorów, ciesz się z nowego tycia. Znika, nic po niej nie pozostaje. Klika, jakby tu była zwyczajem. Łapacz umiera, od uderzenia. Obok leżą jelita, do przeliczenia. O co jej właściwie chodziło. I co takiego duszę utyli. Lub utyli mogło, jak tu nie ma jedzenia. To go ubodło, efekt dalszego chcenia. No i możliwości, tak odgadywane. Ale to wcześniej, chwile szampanem skąpane. Ale nareszcie, co komu szkodzi. Ale to później, już mi nie wychodzi. I te medale, na nodze podparte. Odporne żale, i koszule zdarte. Komu wyniki, i okazyjność. Dalsze uniki, i ta atrakcyjność. Jak się zanosi, i kogo wciąż prosi. Za czy optuje, i jak oszukuje. Zdatna dziewczyna, cud, nie malina. Wytwory stałe, stała wydzielina. No i pozornosc całej sytuacji. Względność odpływów i jej reputacji. Komu wiadomość ta przekazana. A w piekle dalej mrozą szampana.

Piasek mówi:

W tym wytłoku i energii

W smacznym soku i bakterii

Wolność co dziwne ma zwyczajem

Na czerwonym świetle zawsze staje

Spotkanie 17

I tak się zgrywa, nie odstaje. Wszystko się łapaczowi tylko wydaje. Ale czy na pewno. Ale czy na srogo. Może właśnie żegna się lewą nogą. Jak tu odpocząć. Jak się tu strawić. Można się przecież dobrze zabawić. Ale nie na pustyni, tu sprawa inna. Wszyscy niewinni, robić powinna. Imprezę klasową, zasłanianą mową. Z okazji Twojej czystości, tak za namową. I w rytm skłonności, dalszych uprzedzeń. Tak z przyzwoitości, rytmy posiedzeń. No więc zagwozodka, która dziedzina. Taka drobnostka, jak koniczyna. Taka w przedrostkach, ściśle utkana. Może będzie na widok publiczny pokazana. No więc strumienie, i odnowienie. Cieni trawienie, przeistoczenie. I dobrobyty, tak jesteś zbity. I dobrostany, łapacz pochowany. Zakopał się w piasku po same uszy. Nie wie co dalej, czy go ktoś ruszy. Nie wie, czy stany, i abnegacja. A może została tu już tylko lustracja. I odnowienia, niewiele trzeba. I przesilenia, taka potrzeba. W natarciu wspomnień, dalszej dziedzinie. W wykroku słów, i cichej przyczynie. Można to puenty, tak bez ociągnięć. Można, któredy, miliony wspomnień. Wytłoki sprawne, i dalsze stany. Ktoś zainwestował na giełdzie w proste banany. I te hinduskie dalsze specjały. I Zaratustrę przeciorać, mały. W tym odnowieniu, i dalszym istnieniu. Dla opozycji, w jednym skinieniu. Dobrze więc wtórne, to przekazanie. Masz tą maturę, i własne zdanie. Masz jedną bzdurę, komu i na co. Ważne czy dobrze Ci w końcu płacą. I te uniki, komu histeria. Dalsze przekwity i klimakteria. W wozach schowane, widziane nad ranem. Ale czy autko dobrze posprzątane. Łapacz nie musi już sprzątać pustyni. I tak się go już poważnie wini. I tak ma w życiu tym przesrane. Pozagrobowym, będzie dodane. I te przykłady, tak przemilczane. I te wykłady, na listę wpisane. Słowo co koi i rozwesela. Mnożenie, wynik niedoszętego frajera. A łapacz ciągnie, niewiele zostaje. Biega przeciągiem, rachunki rozdaje. Taka zabawa, może szaleństwo. Albo pierwsze stadium, narzeczeństwo. Z głupotą własną, może wrodzoną. Z ochotą ciasną, dawno wypatrzoną. Jak się nadaje, i z czym rozstaje. Może się stanie tutaj zwyczajem. No ale chwila, co tutaj się dzieje. Na tej pustyni, ziemia się chwieje. I wszyscy Ci ludzie, co tutaj robią. Trzęsienie ziemi, katastrofę ozdobią. I walą się tutaj okoliczne budynki. I te wszystkie składy, fajerwerków i szynki. Wszystko w gruzy się tu zamienia. Łapacz nie zdążył zakosztować spoufalenia. A chciał porozmawiać, zamienić kilka słów. Przecież ta samotność, wieczna jak nów. Przecież tak krótkowzroczność widzieć nie pozwala. Na czuja życie bierze, i tak się to życie rozwała. W mak i proch, niewiele zostało. A może to wszystko tak być miało. Trzęsienie ziemi wnet, nie odpuszcza. Przychodzi kolejne, zatyka usta. I te dziedziny, krzyki i miny. I drogowskazy, wszystkie zakazy. Komu znacznie i krótkowzroczność. Spoufalenie, i tą zaborczość. Jest i tak będzie, z podziemi tryska. Lawa, i nie jest wu wcale przejrzysta. To koniec świata łapacz wykrzykuje. I po chwili w lawie już się znajduje. Umiera, boli, cholernie, cały. Ale ostatni raz wybałusza gały. Widzi przepiękną taką kobietę. Gdyby nie był nadpalony, miałby podnietę. A ona zbliża się cała w czerwieni. Chwile do końca, nic tego nie zmieni. A ona szepcze mu cicho na ucho. Pięknie wyglądałbyś z wyprasowaną muchą. Pięknie jest umierać o brzasku. Choć nie ma tu słońca, i zbytich oklasków. Pięknie jest stołować, się w zgiełku. O ile nie przynieśli Cię zapiętego w nosidełku. I znika, piękna jutrzienka. I przenika, słowo jak męka. O co jej właściwie chodziło. A może łapaczowi tylko się przyśniło. Teraz umiera, ostatnie podrygi. Mięśnie cierpią, nie są to migi. Mózg paruje, chwilę wytrzymać. Nie oszukuje, nie ma gdzie się zatrzymać. Wszystkie miejsca parkingowe zasypane gruzem. A jak wyjechać dalej, korki takie duże. No ale jeszcze, sprawa łapacza zwrotna. Śmierć w lawie to nie kariera zawrotna. Tylko

koniec bez potakiwania. Jak goniec, nie mam własnego zdania. Na stronie, i dalszej legendzie. Łapacz nie żyje, będą klepsydry wszędzie. Na każdym murze i płocie zielonym. Na każdej chmurze, w lawie położony. Nie trzeba pogrzebu, śladu po nim nie ma. Nie trzeba wygód, śmierć to nie ściema. Tylko kolejne drogi przemierzenie. Tylko kolejne słońca zaćmienie. Tu, na obrzeżach piekła nie ma z tym problemu. Melodia wściekła, i niedorzeczność każdemu. I tak do końca, historia stracona. I tak bez końca, tu ponowiona. Wina posłańca, co głosi, dlaczego. Mamy tu chowańca, a Ty co chcesz od niego. I wartości, co zdają się zanosić. I przykrości, co próbują o coś prosić. Wynaturzenia, w tej jednej przyczynie. Wiara w boskość, tu nigdy nie zginie.

Piasek mówi:

Wyrok, sprawstwo, w dobrobycie
Masz to w samochodowym uchwycie

Znasz to, do czego doprowadzi
Ciebie obchodzi, czy Ci nie zawadzi

Spotkanie 18

W tym ataku, tak pokrewni. I na szlaku, całkiem zwiewni. Jedna zbrojna, ciężka chwila. Czas nam tutaj wciąż umila. I tak prędko, te rozstępy. I znajome, me występy. Łapacz łapie, piasek z piasku. I tak człapie, dla poklasku. Co się dzieje, jakie strony. Może człowiek odnowiony. Lecz nie widać, dotknąć trzeba. Takie sprzymierzenie chleba. Dalsza łączność i rozstaje. Ta przezorność, słowo daję. Monotonność w dalszym szyku. Nie ma lekko, tu w uniku. I tak dalej słowa drogie. Można nazwać je w rozchodzie. Wynaturzenia ekspresyjne. Kompas, liczba, inwazyjnie. No i strącić s pół musztardę. I ugościć tą kokardę. W rytmie wspomnień i ponagleń. Wartość jednolitych pragnień. No i szkopuł przekonany. Będzie trzeba pić szampany. Będzie trzeba się wzorować. Nie ma po co się tu chować. I interes taki zwykły. Jak ten wrzos, tu niezwykle. Jak ten stos co pali ciało. Tobie atrakcji jednak mało. I interes co się darzy. Nigdy więcej kalendarzy. Na pustyni nieprzydatne. Nie to co piersi, jakieś wydatne. Ale i tych tu brakuje. Łapacz łapie, ustępuje. Piach go tak dogłębnie nurtuje. A po chwili oszukuje. No więc spójniej przedawnienia. Obopólnie, i skinienia. No więc składnie i podroby. Nie doszukasz się tu wody. I inwencje te powtórne. Dalej przestań, chwile zgubne. I tradycje, co przestają. Chyba dalej się wydają. Można szybko, można trwożnie. Albo całkiem, tak pobożnie. Łapacz strąca te zranienia. W końcu sługa jest tu cienia. I odchyły, pierwowzory. Czas przemiły i pozory. No i wtórne przenikanie. Tak pospołu, zaklinanie. Można drogo, i bez sensu. Można błogo, w myśl kredensu. Wartość zgrania, dobrobytu. A Ty łap, taniego chwytu. Status, wynik i historię. Taką boską trajektorię. W rytm tych wskazań, i przeników. Chwil tych mądrych, i uników. Słowo szczególnie pogrzebane. Wynik frakcji, naskładane. I te mrowle, co się dzieje. Koniec końców zjadł nadzieję. Łapacz troska się chwilami. Nie beztroska między nami. Nie w pogłoskach odkrywany. Nie ma jak tureckie dywany. I ten pegaz co się chwieje. Obligacje i nadzieje. A nasz

Łapacz załamany. Poćwiartowali moje plany. Mówi i coś znowu widzi. Chyba ktoś tu z niego szydzi. Ring bokserski, zapraszają. Kibice już pieśni śpiewają. Ma boksować, rękawice. Nie ma czasu, poziomice. Nie ma lasu, tylko piski. Początek czy koniec, czego jest bliski. No i przeciwnik, większy od niego. Nie zapyta, kto którego. Tylko gong i na oślep wali. Może lampka się zapali. Ale nie, tamten oddaje. I to tak, że się nadaje. Widać, bokser pierwszy sort. Będzie zjedzony cały tort. Ale nie łapacz będzie szczęśliwy. Chociaż finał być może kąśliwy. Chociaż nie stękać tutaj należy. Tylko uderzać, kto jak tu bieży. I jest ta przerwa, wyczekiwana. I chwila oddechu, łapaczowi dana. I gong, kolejną rundę zacząć. I trach, można się srogo naciąć. I naciął się nasz łapacz kochany. Już leży na deskach, tak odliczany. Przeciwnik się śmieje, na koniec ma nadzieję. Ale łapacz wstaje. Boże, co się dzieje. Walka trwa nadal, łapacz się nie poddaje. Cios za ciosem, jak może, zadaje. Głos za głosem, komu jaka funkcja. Nie podsumujesz bigosem. Nie jest to żadna punkcja. I te monolity, co zaśpiewać chciały. I dalsze uniki, jak wiele musiały. Finał znakomity, diabeł będzie rady. Rad nie potrzebuje, czeka zaś na zwady. No i jest. Potworne uderzenie. No i test. Zabite sumienie. Łapacz leży i nie daje oznak życia. Chwila, moment, efekty przeżycia. Na chwilę odzyskuje przytomność krótką. Podratowałby się bardzo chętnie wódką. Ale wódki nie ma, jest zaś ona. Piękna kobieta, może wyposzczona. W każdym razie w czerwień ubrana. Na zakazie, od wieczora do rana. Jak w przekazie i odnoszeniu ran. Byłoby dobrze, gdyby nie było bram. Podchodzi do niego i szepcze do ucha. Który tur którego, będzie zawierucha. Zabierz tura swego i wróć do dobrego. Będzie okazja i sposobność do tego. I kończy, znika, łapacz jej nie widzi. Zwycięzca podskakuje i z łapacza szydzi. Na końcu kopie go w głowę, łapacz ospały. To jego koniec. Brak życia. Dyrzymały. No i zależność, między stronicami. Tak krótkobieżność i powody chwilami. Ciągła sprzeczność, i warianty zachować. Niekonieczność, i powody pochowań. Jak się strąca, i do której dziury. Kto potraça, i tworzy wszystkie bzdury. Jak zespawać, żeby trwałe było. Można kazać, żeby się urodziło. No więc spójnie, i jest pojedynek. Tak dostojnie, jak wspólne wyjście na rynek. Wiarygodne, i smak kątem zostawiony. Noce szkodne, obraz został dokończony. I iniekcja, co zbiera pacjentów marzenia. I tradycja, mit do obalenia. We wrogości, tych wspólnych napomnień. I ilości, kolejnych zaognień. Komu jaka, znak i szpada. Jaka dalsza, zwrotna zwada. Okazalsze, te zachwyty. Doskonalsze, dalsze chwytty. I się zmienia, tak próbuje. I podmienia, oszukuje. Jaki wzrok, z kieszeni wyciągnąć. Po co tłok, wszystko można osiągnąć.

Piasek mówi:

Wywrót błogi, to powody
Przewrót srogi, mimochody

Wynik spacji, kongregacji
Odwołanie tych wakacji

Spotkanie 19

W tym wykroku, i konkluzji. W zdartym szoku, i żaluzji. Wszystko się sprawia, nosi, dogrywa. Łapacz to ten, który nie przegrywa. A przynajmniej mu się tak zawsze wydaje. A bynajmniej,

czasem z wydaniem się rozstaje. A przynajmniej, czasem go to obchodzi. Ta wiadomość, która nie dochodzi. No więc konkrety i obeznania. No więc są bzdety, i próżne gadania. W tym czasie podniety, i sprawozdania. Koniec na końcu, efekt łapania. No i zwyczaj, które się mnożą. Dalsze ruszają, kłopotu przysporzą. W znanej energii, i przedawnieniu. W zwyczaju synerii, przekomarzeniu. No i kłopoty, co dyla dają. Te dalsze psoty, się tu przydają. Tak w myśl ochoty, historia przeciągnięć. Wymiar i cnoty, te z niedociągnięć. I się tak zdaje, tu na pustyni. Łapacz zapomina, odpowiedniej miny. Tylko te czyni, z zachowania. Pustynne naleciałości, i własne zdania. Ale człapie, do przodu, o ile przekonanie. To nie koniec, wyvodu, jest to przekraczanie. Czeka ciągle, tu wschodu. I to zaprzeczenie. Ile wymiar, rozchodu, będzie sprzymierzenie. Łapacz wie doskonale, że piekło ma swoje żale. Łapacz zna, te systemy, i problemy bez weny. Łapacz rości sobie prawa, bez obowiązków. Taka w piekle ta zabawa, nie doczekasz się wniosków. Tylko jedna energia, co świat cały przenika. Tylko ta sytuacja, która wymaga ratownika. Tylko ta jedna panika, która z kurtuazji nie znika. I żywoty świętych, zawsze uśmiechniętych. Na myśl o nich, łapacz tu już goni. Na myśl o sobie, przedstawia się w trzeciej osobie. I te miny, wątki znowu otwarte. I dominy, okoliczności synodem podparte. Jak i komu, który minerał. Pies, tu połów. Będzie wybierał. I tak do końca istnienia świata. I będzie dalej, czym chata bogata. Nie przezierał, dalej tulił wątpliwości. Nie wybierał, dalej tlił przezorności. Komu w której kolumnie pasuje. I dlaczego akurat ja się w niej znajduje. Z łapaczem nie ma lekko. Było, będzie, paletką. Do odbijania, byle dalej od siebie. Do znajdywania, w kolejności, ja nie wiem. I te stany, dalsze są kurhany. I mnożenia, system i przyłożenia. Wiadomość, oby był ten jegomość. Zdradliwe, i znowu zapobiegliwe. Są słowa, które sobie wyobraża. Są zdania, które tu podważa. Łapacz ma dużo czasu na myślenie. Nie ma że boli, jedno przyłożenie. Tak spaceruje, gubiąc kierunek. Do przodu, niby ten sam poczęstunek. A wyniki różne, kwadratowe podłużne. A przyczyny się pytają, ile i dlaczego dłużne. Łapacza nagle zmroziło. O co tutaj chodzi. Patrzy, a jeden człowiek drugiemu szkodzi. Widzi, plantację bananowców. Jakiś stróż, bije młodych chłopców. Dlatego, że raczyli się bananem poczęstować. Zamiast zbierać, woleli drugiego schować. Zamiast zżerać, powinni przecież pracować. Biję ich batem, nie da się go schować. Aż pręgi na plecach chłopaków zostają. Do krwi, takie rany zadają. Do brwi, oczy napuchnięte. Płaczą, stróż ma to za zachętę. I biję mocniej, odpocząć nie pozwala. Nie jest pomocniej, z nóg chłopców zwala. I tłucze tak ciągle, bez opamiętania. I stłucze, tą trąbę, własnego mniemania. Ale taki świat, choć łapaczowi szkoda. Więc myśli sobie, uratuję, będzie nagroda. I rzuca się na tego strażnika. Opiekuna plantacji, szkoda ratownika. Bo dwóch kolejnych migiem przybiega. Bo teraz łapacz wie już, o co biega. Teraz w trójkę, okładają go batami. Nie ma co pytać, jak będzie z wynikami. Uderzają tak, żeby zadać cierpienie. Chłopcy umykają, chwila, ukojenie. Ale łapacz jest w sytuacji tragicznej. Nie ma że boli, to nie zadanie w masie logicznej. Tylko strącenie i wykończenie. Łapacz powoli już kończy istnienie. Ale widzi jeszcze, kobieta przyszła. Podchodzi, trzyma bananowego liścia. Cała w czerwieni, aż się od niej mieni. Cała w dostatku, jak na wycieczkowym statku. I szepcze coś łapaczowi na ucho. Byłoby, będzie, zapięte kolucho. Ale miałeś dobre chęci, choć interesowne. Ale było bez pamięci, i te słowa zbrojne. Ważni się tu Ci wyklęci, świat ich nie rozumie. Niech Cię to nie zniechęci, mądry życie umie. I tak znika, nie ma damy. Została krew, i łapacz zabijany. Została mgiełka, jakaś tak dziwna. Dobra uczta musi być piwna. Co to pomoże, i w jakiej sukience. Po co te uczty, w jakiej podzięce. Świętowanie zabicia, człowieka sprawnego. Terminy przeżycia, życia nijakiego. I tak się stara, znowu podnosi. Kopiec niezdara, o wagary prosi. I już tu znowu,

terminy przeciągnąć. Wariacje wspomnień, etapy niedociągnięć. W jakie przynęcie, i naśladowaniu. Odchył w monicie, i przekornym zdaniu. Tak w dobrobycie, uczują srogo. Chwile w przechwycie, nie skończy się błogo. No więc nowela, już napisana. Jakaś na świecie, o kimś tak z rana. No więc wartości, i sprawy zbroje. Te w pożądlivości, i myśli dostojne. Jakie zmienienie i przełożenie. Jakie mniemanie i Twoje zdanie. Komu nagrodę a komu karę. Nie jesteś bogiem, na szczęście, za karę.

Piasek mówi:

W tym wyniku jedno siodło
Byłoby sprawne, gdyby mogło

Byłoby zdatne, jest ten minerał
Odpowiada ciszą, w nocy gardło zdzierał

Spotkanie 20

Pustynia Zapomnienia. Ale czy warta jednego istnienia. Ale czy warta, jednej jest śmierci. A łapacz ciągle się tu wierci. Dalsze zdarzenia, historia początków. Te przemieszczenia, kolejnych wątków. Te przerobienia, o co komu chodzi. Masz możliwości, i Ci to nie szkodzi. W dalszym wymiarze, i trajektorii. Sprawnym przekazie, tej dychotomii. Wartość oddana i sprawozdana. Odłoczna zgrana, będzie tak nagrana. No i finały, komu ich trzeba. Jak te dyrdymały, i rysunek nieba. Jak te przemówienia, i koleje osiągnięć. Dalsze przyłożenia, i wyniki wspomnień. Tak się tu stresuje, i dalej popisuje. Tak tu wnet umyka, notorycznie znika. Wiwaty i smugi, czego jesteś długi. Kradzieje i dzieje, a zostały szlugi. Po człowieku, nic więcej doniosłego. Po oczekuj, nie ma tego złego. Dobrze jest pocieszać, ale nie umarłego. Lepiej jest rozgrzeszać, tego żyjącego. No więc wspólnie, i jeden autorytet. Cena, nawet chlubnie, i spełniony komitet. W jednej tej zagwozdce, i pustej butelce. W pełnowymiarowej trosce, nagramy komedię. No więc dziedzina, i okoliczna kpina. No więc przezorność, i słaba odporność. W z dawien dawna rzeka, kto na Ciebie czeka. W z dawien dawna Raju, w poczciwym zwyczaj. Jest i się znajduje. Trwa, nie oszukuje. Jest i Ci przebacza, łapacza, łapacza. A łapacz nie słucha, wędrownką zajęty. Mówi, taka praca, robotą przejęty. I się znów zagraca, na co mu to było. Ale czy to popłaca, i czym się skończyło. Jakie obelżywe słowa. Gdzie głowa już gotowa. I te znaki, trzeba przyrzec. Dla niepoznaki, można wyrzec. Więc wiadomość, tu wypada. Ta świadomość, nie sąsiada. Ta przezorność, odrobiona. Przyrzeczenie, nie ta strona. I to piekło, są obrzeża. Coś tu rzekło, niech przemierza. Coś odrzekło, sprawa droga. Jest ten łapacz, boli noga. Jeszcze nie przygotowany. Jeszcze ma, te inne plany. A więc kroczy, idzie dalej. Coś namierza, te zwyczaje. No i odpór, przedawniony. Tani roztwór, podpatrzony. No więc sporność, się przydaje. Tylko kto z kim się tu zadaje. No więc zgranie, i pytanie. Jakie będzie rokowanie. No więc słowa, i przyszłości. Może zaproszenie dla gości. I tak lepiej, już rozpuszcza. Dłonie w sklepie, i kapusta. Sprawna akcja, przykazanie. Ta narracja, odpuszczanie. I ten łapacz, dalej idzie. Cały tonie, w tym niewidzie. Cały płonie, opatrunkiem. Nie dogonię, tym ratunkiem. No więc spójność, i co

widzi. Jakieś żarty, że ktoś szydzi. Łab podparty, widok osła. Co na barkach niesie posta. Czy na odwrót, sprawa droga. Kto tu kogo, jak pogoda. Osioł, poseł, drogowskazy. Może lotnicze to są pokazy. Ale nie, to przedwyborcza. Kampania, i jak mina zbiorcza. Żałoba, po kolejnej obietnicy. Pogoda, później będzie z niczym. Ale dzisiaj, się bawimy. Są weseli, ludzie gminy. Są przezorni, gracji trzeba. Tak wytworni, ja się nie bać. I te poseł twardo mówi. Go doniosę, stado żółwi. Je podniosę, się nadaję. Wybierzcie mnie, a nie tamtą zgraję. Jestem przecież idealny. Jestem taki nienaganny. Krawat mam za trzy tysiące. Mam rodzinę, takie brzdące. Mądre, sprawne, urokliwe. Na zabawę, oczy sine. Na wyprawę, oczy drogie. Mam też jacht, chwile błogie. A to wszystko z ciężkiej pracy. Te zegarki, materacy. Taki sklepik kiedyś miałem. I ciężko w nim harowałem. To mój pot i doświadczenia. To jest objaw, uprzedzenia. Że mówią, murzynów nie lubię. I tych żydów, w gejo-klubie. To nieprawda, daję słowo. Jestem Szlomo, podziadkowo. Ale na to trzecie imię. Nieistotne, rządzą gminem. No więc zdrada konkurentów. A ja zacny, z incydentów. Żadnych przecież tu nie miałem. Tak się o głosy wciąż starałem. Polityk gada, a łapacz się śmieje. Może na coś ma nadzieję. Że dostanie, przekupiony. Że zostanie, odznaczony. Jego śmiech urodził pytanie. Jakiś gburek, rokowanie. A Ty to jesteś za opozycją. Czy postraszyć Cię policją. Na to łapacz odpowiada. Mnie tu bawi jawna zwada. Słów co się tak potykają. Głów, co z rozumem się rozstają. Na to słowa odpowiedzi. Pięści, i kto gdzie tu siedzi. Chrząści szczęka połamana. Przez łapacza już zbierana. I to uderzenie całe. Na wątrobę, pęka, spałem. Na przygodę, koniec łaski. Nie doczeka się, oklaski. Ostatnie chwile i widzenie. Ta kobieta, otrzeźwienie. Cała na czerwono stała. I tak szeptem powiedziała. Mafia ładny ma garnitur. Tak wyjściowy, słowny przytup. Sprawnościowy, nienażarty. Świat luksusem jest podparty. A ta władza luksusowa. A przesadza, nie wychowa. I rozsadza, jak ktoś kłapie. Świnia byle co do pyska złapie. No i koniec, znika ona. Tak świetlista, wymarzona. I znika też ta iskra życia. Łapacz umiera, chwila przepicia. Są marzenia i kontrakty. Są znaczenia i wydatny. Przemierzenia i rozstaje. Rozłożenia i zwyczaje. Komu spójność odebrana. A dla kogo tyk szampana. Diabeł cieszy się z tych starców. Co tu rządzą, jeden łańcuch. Co przyrządzą, sobie ucztę. Same kości, tylko tłuczie. Same złości, piekło płonie. Z ich radości, dostrojone.

Piasek mówi:

I ten odpór, zostawiony
Słaby chwyt, ponowiony

I ta sprawa, tak przechodnia
Ta wyprawa, zawsze chłodna

Spotkanie 21

W tym wyborze, i przekąsie. Na soborze, i w tym dąsie. Same słowa, jednolite. Jest nasz łapacz, znakomite. Te wybory, bo i próżno. Na pozory, dalej dłużno. Się podpory, posypały. Pozostały same gały. I wyniki, dalszych wspomnień. I przykłady, wody chłodnej. Te wymogi, dalsze racje. Chyba pora na wakacje. I to próżne, położenie. Nie podłużne, noszą cienie. I wykwintne,

dostawienie. Chwile męki, i pragnienie. Komu zakład, gracia droższa. Komu mowa, ta przydrożna. I wyniki, słów i stanów. Pani chyba ze straganów. No więc ściągnąć, łapacz umie. Te wykwyty, tylko w tłumie. Te uniki, się pozbęda. Zawodniki, się przepędzą. I te miarki, słowo daję. Do przymiarki, się rozstają. I wymiana, uprzejmości. Karmić Pana, miarą gości. No to dłużne, i przespałe. Obopólnie doskonałe. I wytłoki, z tych poczyń. Dzień wysoki, dalszych trzymań. No i zbiornik, co zawodzi. Nie doczeka się powodzi. Na pustyni żyć tu ciężko. W samotności, uwierz w to. Że znajomość, podbuduje. Przegadanie, nie próżnuje. Przykazanie, odnajduje. Kto jak się tu zachowuje. No i sprawność, z przystankami. Namacalność, z orbitami. I te schody, gdzie prowadzą. I rozwody, dalej sadzą. No więc zgranie, pojedynek. To dogranie, rytm dziewczynek. Przeczekanie, może próżne. Dokonanie, to podłużne. Chwili rzecz, i w jakim stanie. I iść precz. To dogranie. W chwili wątlej i przezornej. Takiej okoliczności spornej. No więc dłużej, się unosi. Tak przecieka, no i prosi. Łapacz zdania tutaj zmienia. Okoliczności, bez plemienia. I tak dalej, chwile drogie. Dalsze żale, i połogiem. Te wybrane, i skuteczne. Warunki są zawsze wieczne. I ten spód, trzeba przyznać. Mocny bród, jak obczyzna. Chwila, smród, i się nosi. Kategorię nie unosi. I tak dalej, w tym przytyku. Tak najdalej, we wrót przesmyku. Chwile boskie i roztropne. Tu sprawdzone wszystkie stopnie. I zaczynać, można słowa. I przyczyna, już gotowa. W jednym szyku i przystanku. Jak w nocniku, na kaganku. I się stroi, spać nie daje. Ta pustynia, jest zwyczajem. I zanosy, dalej prosi. Może ktoś to dobrze znosi. Lecz nie łapacz, ciągle cierpi. I do siebie, się tu chełpi. Byłem wielkim łapaczem, kiedy, no a teraz stos tu biedy. Piach sam tylko, przeznaczenie. Tak nieprędko, zaznaczenie. Tak przynętą, ile można. Chyba każda chwila trwożna. I marzenia, co się nuca. I istnienia, nie przewrócą. W jednym sednie poskładane. W noc, we dnie, nadawane. Na pustyni nie ma nocy. Zapomnienie chyżo kroczy. Na pustyni nie ma w dzień. Został tylko jeden cień. Co sam siebie tutaj rzuca. Co pomysły tu podrzuca. Łapacz patrzy, odwraca głowę. Myśli, chciałby na gotowe. Ale nie ma, niedostatek. Ale ściema, i wydatek. No cóż, jak poradzić sobie. A może nie zmieści się w głowie. Pomysł nowy na ratunek. Kolorowy opatrunek. Może nie iść i tak zostać. Kto zabroni mi tak zostać. Może znudzi się pustynia. Tak podłożę, jedna kpina. Zobaczmy co to da. Może powiem pustyni pa. Ale zanim pożegnania. Łapacz patrzy, widzi, drania. Jakiś gość, który jest ślepy. Zabiera portmonetkę, ślepej kobiety. O co tu chodzi, tyle ludzi. Wszyscy ślepcy, nie marudzi. Ale jak oni żyć potrafią. Jak funkcjonują, nie zastraszą. Tylko ja tutaj coś widzę. A oni, inni, z nich tylko szydę. Mówi łapacz, i tym ciosem. Otrzymuje, jakby skosem. Od jakiegoś ślepca starego. Co się pomylił. No i co z tego. Łapacz dopytuje ludzi co się stało. Kiedy się ślepcem tutaj zostało. I różnie mu odpowiadają. Każdy w innym wieku, ze ślepotą się nie rozstają. Łapacz zdziwiony, co ślepotę wywołało. Może choroba, może witamin mało. Nikt jednak nie zna odpowiedzi. A jeden nawet na tronie siedzi. I co dalej, jaka historia. Które to żale, a może zbrodnia. Jak się odwrócić, i nie zasmucić. Jak sponiewierać, i się nie docierać. Łapacz wchodzi na pasy drogowe. Przechodzi przez przejście, widać że nowe. Aż tu nagle, uderzenie czuje. Ktoś przejechał go autem, i chyba nie żałuje. Ślepiec ten samochód prowadził. Nie widział łapacza, ślepotą się zdradził. I te tu skutki, z wyników obdarte. I te podarunki, na okoliczność otwarte. Z jakiej zasady i z jakiego stanu. Łapacz umiera, powoli, w myśl planu. Komu się zdaje, i co się wydaje. A może przysporzy, w rytmie gaworzy. Raj ślepców, na Pustyni Zapomnienia. Co to dodaje, a co to zmienia. I te pozory, dalej otwarte. Kolejne wzory, doświadczeniem podparte. I ta zagwozdzka, która się rości. I ta wymiana, chwili i ilości. Do czego doprowadzi, i kto ją usadzi. Gdzie odnajduje, i za kim optuje. Nagle coś niespodziewanego. Łapacz widzi, wilka dzikiego.

Przebiega jakby niezauważony. A może to urojenie, a może szuka żony. No i jest ona, piękna kobieta. No i jest ona, płynąca rzeka. Cała w czerwieni, przysposobiona. Czerwień zakrywa delikatne ramiona. Zbliży się do konającego łapacza, i mówi, podobno taka praca. A mnie się wydaje, że trzeba przyznać. Jak już się czuje, dotykiem, że mielizna. Odchyła głowę, i coś dziwnego. Łapacz podnosi rękę, i chwyta ją dlatego. Trzyma za rękę, i odejść nie pozwala. Ona patrzy z uśmiechem, kolejna rzeki fala. I łapacz wypowiada słowa, które zmieniły wszystko. Jesteś moją matką. Kocham Cię, już blisko. Zostań, albo zabierz mnie ze sobą. Pozwól mi być, czerwieni ozdobą.

Piasek mówi:

Ślepy traf, i przekonanie
Masz wykonanie i badanie

Masz przekonanie, jedną drogę
Nie musisz pytać, czy dalej mogę

Schody

Nie mamy wiele czasu, odpowiada ona. Umierasz, chwila jest już uwypuklona. Szybko, wstawaj, pomogę jak mogę. I poczujesz ukłucie, wolną swobodę. Idziemy, droga do schodów daleka. I idą, co ich dalej czeka. Kobieta rozpoznała przemienienie syna. Dzięki miłości do matki. Tak to się zaczyna. A czasami skończyć też pozwoli. Odpowiednio. Dla, lub mimo woli. Tak powszednio, dalej wyskładane. Moce sprawne, oblewane szampanem. Łapacz poczuł ją i zrozumiał. Iskierkę miłości, na nowo ją umiał. Rozpaliła ogień, i wspomnienie lata. Tego pamiętnego, gdzie on dalej lata. I wytworne, te dalsze przygody. Bieganie z patykiem, i z maszyny lody. Czytanie książek, mama go uczyła. Jazda na rowerze, dobrze przymierzyła. Całe życie nagle ożyło. To z miłości, dla miłości było. Późniejsze błędy, jakby nieważne. Rola przybłądy i skoki poważne. Ważne co tu i teraz, co się tutaj dzieje. Kobieta go prowadzi, może ma nadzieję. Idą, ona pilnuje równego kroku. Niewiele czasu, nie będzie premii w przyszłym roku. Więc się potyka, łapacz upada. Ona mu wstać znowu pomaga. I dalsze kroczenie, co dalej będzie. To sprzymierzenie. Na wodzie łabędzie. I ten urywek, na wiele trzeba. Kategoria zrywek i kęs świeżego chleba. Jakie postacie i chwile godne. Czy wszystko na chacie, czy miny wygodne. Łapacz próbuje, daje z siebie wszystko. Nie, nie pudłuje. Gdzieś obok mrowisko. Mrówki nie są ślepe, jak i wilk co biega. Rzeka płynie dalej, i się nie rozbiega. No więc zwyczajnie, dalszy pojedynek. Oddychać przestaje, kategoria minek. Kobieta jednak nie przestaje pomagać. Ocuciła go, nie ma o czym gadać. Teraz ciągnie go, jak może, tylko czy zdąży. Chwile martwe i Boże, kto nas rozsądzi. Wiadome przyłożenia, i dalsze położenia. Nie jest to miejsce i czas na piersią karmienia. Ale matka karmi go, mlekiem co siły dodaje. Szybko, nie ma czasu, po chwili już wstaje. I idą dalej, śmierć już czyha blisko. Pałęta się, minęła właśnie mrowisko. I ta dalsza żerdź, i statek do wspomnień. Kolejna zamieć, i sieć napomnień. Wszystko w imię życia. I jego ratowania. Wszystko dla przeżycia, matczyne nawoływania. I są, widzi je łapacz przed sobą. Jeszcze kawałek, i będą mi ozdobą. Schody, co z pustyni są drogą ucieczki.

Prawdopodobnie, dopytuje mateczki. Ona nie odpowiada, tylko go pogania. Są już całkiem blisko. Wilk im drogę zasłania. Ale nie czekają. Wilka omijają. Coraz bardziej się do schodów zbliżają. I jest, oto chwila sroga. Zapora na rzece, tonąc to w ostrogach. Trudne jest jej pokonanie. Bez pomocy miłości, marne rokowanie. Ale tutaj miłość jest i żyje. Matczyzna, synowska, nie przegonisz kijem. Zapora pokonana, schody już tu są. Pierwszy stopień. Trzeba uwierzyć w nią. I w górę, wspinają się coraz wyżej. Tą bzdurę, porzucić trzeba najwyżej. Nie straty, ale zyski człowieka budują. Nawet jeśli stratą zysk oszukują. Ważne są schody, i ich przeznaczenie. Droga do nieba, miłości spełnienie. Opuszczenie tego parszywego miejsca. Są coraz wyżej, już uśmiech, zwycięzca. Nagle chmury zasłaniają życie. Pustynne, marne, ciche, przeżycie. I wyżej, wspinają się, czy zdążyć należy. Śmierć wchodzi na schody, czy łapacz w to uwierzy. Śmierć goni jak może, potrącenie mocne. A teraz matczyne dłonie pomocne. I widzą. I patrzą. Już są na miejscu. Rzeka wpada do oceanu. Jak w ruchliwym przejściu. Niebo, i bramy do nieba otwarte. Trzeba, chwile całego życia warte. Tego dobrego, tego co się udało. Kobieta spogląda na niego, łapacz pyta, co się stało. Kobieta mówi, to miłość Cię uratowała. Zawsze w Tobie była. Matka zawsze kochała. A miłość rodzi miłość, i się z nią nie rozstaje. Nawet gdy ktoś wybiera niewłaściwe rozstaje. I drogi gubi, trzeba przypomnieć. I wieczór długi, miliony wspomnień. Oto jest niebo, miłość Cię przywiodła. Przejdź przez te bramy. I ciesz się, to płodna. Chwila, co przed śmiercią Cię uratowała. W ostatnim momencie wytchnienie Ci dała. Chodź, i zostań ze mną. Jam jestem Panem. I już nigdy się z Tobą bracie nie rozstanę.

Ten minerał
Cały skutny
Tak przecierał
Nie rozpruty

Ale jest
To przeznaczenie
Matczyzna miłość
Ma znaczenie

Ona uwolni
Tak wyswobodzi
Ona przeżyje
Sercem dowodzi

Matka kierunek Ci pokazała
Zaprowadziła, miłość Ci dała
Matka dopilnuje, czy dalej żyjesz
W matce jest On, chodź tu na chwilę

Zrozum, sercem wybadaj sprawę
Rozum, ale czy czas na zabawę
Przeżyj, dzięki tej jednej skłonności
Nieprzeterminowanej, **do matki miłości**



Spis obrazów:

Grafika ze strony tytułowej: Grafika Marcina z Frysztaka, Zrzucona skorupa 6.

Wiersz ze wstępu. Marcin z Frysztaka, Mocodawca:.

Obraz końcowy: Marcin z Frysztaka, [i](#).



Marcin z Frysztaka

ur. 2 grudnia 1986 – obecnie

Uzależniony od życia. Twierdzi, że powietrzem duszy się nie nakarmi. Autor pięciu 14-częściowych cykli. Piąty nosi tytuł „Życie ponad życie”. Książki Marcina można przeczytać za darmo w internecie. Są dostępne na stronie internetowej: wilusz.org

Piąty cykl to dziewięć opowiadań mistycznych, z których na szczególną uwagę zasługują: „Program ochrony wampirów”, „Krasnal który widział przyszłość”, i „Pustynia Zapomnienia”. W cyklu tym znalazło się też miejsce dla pięciu tomików wierszy. To druga część niezatapialnych „Zwierzoszzyków”. „(prawie

jak) haiku”, „Wolne pisanie” inspirowane obrazami, dłuższe wiersze „Zgodnie z planem”, oraz napisany wspólnie z Krzysztofem Eska tomik-rozmowa „Dwóch czy jeden”. Twórczość dla poszukiwaczy prawdy, oraz krytyków otaczającego nas świata. Każdy tutaj znajdzie brata.

Kontakt z Marcinem z Frysztaka:
szulif@gmail.com

Szanowny Wydawco,

Jeśli masz chęć wydać „Pustynię Zapomnienia” w wersji papierowej – drukuj śmiało!

Jako autor zachęcam do powielania, kopiowania i wydawania „Pustyni Zapomnienia” na wszystkie możliwe sposoby. Proszę tylko o zachowanie zgodności z oryginałem.

„Pustynię Zapomnienia” każdy może wydrukować i rozpowszechnić – dzieląc się wolnością.

Nie oczekuje wynagrodzenia, czy procentów od sprzedanych egzemplarzy. Będę się cieszył jeśli część zysków, które uzyskasz ze sprzedaży „Pustyni Zapomnienia”, przekażesz na cele charytatywne.

Nie potrzebujesz dodatkowych zgód, pozwoleń, czy umów.

Chcesz wydać „Pustynię Zapomnienia”? To do dzieła!



Przyjaciele,

Niezwykle istotnym jest, aby „Pustynia Zapomnienia” była w całości dostępna za darmo w internecie.

Kopiuje ją z jednego serwisu z ebookami na kolejne. Ułatwiającie dostęp do „Pustyni Zapomnienia”.

Udostępniajcie ją bez pobierania opłat. Niech zyska nowe, elektroniczne życie. Niech karmi otwarte umysły tych, którzy porzucili papierowe wydania na rzecz cyfrowego świata.

